

Lass Small

Zdobęde Cię

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tom Brown był fotografem. Zawsze fascynowała go perspektywa, światło i cień. Kiedy zaczynał, strasznie denerwował robieniem zdjęć znieczuśca swe liczne rodzeństwo w Tempie w stanie Ohio.

- Nigdy nie rób zdjęć, które mogłyby sprawić komuś przykrość. Rozumiesz? - powiedział mu Salty, jego ojciec.

Kiedy Salty Brown wypowiedział to ostatnie zdanie, Tom wyraźnie zrozumiał zawartą w nim groźbę. Nigdy nikomu nie pokazał swego archiwum takich zdjęć. Spalił nawet te, na których można by kogoś rozpoznać.

Tom miał dwanaście lat, kiedy Salty wskazał mu pewne miejsce w piwnicy.

- Tu mógłbyś sobie urządzić całkiem przyjemną ciemnię - powiedział.

Tom z pomocą całego rodzeństwa od razu zabrał się do jej urządzania. Wszyscy mieszkający w domu Brownów umieli sprzątać, naprawiać, zajmować się autami i posługiwać wszelkiego rodzaju narzędziami.

Choć Tom przez ostatnie osiem lat nie mieszkał w Ohio, ciemnia nadal istniała. W czasach, kiedy jej używał, nauczył swoje rzeczywiste i przyszywane rodzeństwo wszystkiego, co sam umiał. Od tamtej pory technika wywoływania i powiększania zdjęć bardzo się rozwinęła. W liceum Tom był klasowym fotografem i zdobywał pieniądze na własne wydatki, sprzedając zdjęcia. Potem ukończył wydział sztuk pięknych na Uniwersytecie Tekszańskim. Studiował oczywiście fotografię. Po dyplomie zarabiał na życie robieniem zdjęć. Zamieszkał w Austin, w Teksasie.

Przed trzema laty w Wigilię Bożego Narodzenia jego brat, Bob, poślubił w rodzinnym domu w Ohio Jo Malone. Kiedy państwo młodzi postanowili spędzić miesiąc miodowy na poddaszu w domu rodziców, Tom chytrze zaopatrzył ich w

dwie purpurowe prezerwatywy. Jego brat, Cray, podrzucił im również kilka bardziej zwyczajnych.

Bob i Jo nadal mieszkali na poddaszu, a w drodze było już ich drugie dziecko.

Brownowie mieli wyraźną rodzinną skłonność do poddaszy, bo Cray też przez jakiś czas mieszkał w San Antonio na strychu. Dopiero po narodzinach swego pierwszego dziecka Cray i Susanne przeprowadzili się do własnego domu.

Mieszkając w Austin przez osiem lat, Tom stał się rodowitym Teksaszczykiem. Uwielbiał tamtejszą mowę i specjalne znaczenie, jakie mieszkańcy tego stanu nadawali słowom.

Będąc synem aktorki Felicji, uwielbiał także teatr.

Przed dwoma laty zaczął rozglądać się za jakimś mieszkaniem w Zachodnim Teksasie, lecz w tej słabo zaludnionej okolicy nie było łatwo cokolwiek znaleźć.

- Zamieszkać z nami - zaproponował jego przybrany brat Tweed.

- Wiem, że Connie jest wyjątkowa - odparł Tom, - ale czy jesteś pewien, że nie będzie miała nic przeciwko temu, że usiądę wam na karku?

Tweed roześmiał się.

To szef Tweeda, Sam Fuller, znalazł Tomowi pokój u Petersonów. Tom wprowadził się i szybko stał się częścią rodziny. Pewnego dnia Tom wybrał się na przechadzkę po bezludnej, porośniętej cedrami okolicy. Robił zdjęcia, przyglądał się i zachwycał krajobrazem. Wtedy zobaczył psa.

Zwierzę stało na szczycie niewielkiego wzgórza i było znakomicie widoczne. Jak to bywa z dzikimi zwierzętami, nie nauczyło się chować i nie zwracać na siebie uwagi.

Pies nie wyglądał na dzikiego, choć był czujny i ostrożny. Miał poczucie miejsca, którego dzikie zwierzę tak by nie

demonstrowało, nie był też aż tak ostrożny. Było to krótkowłose, żółte stworzenie, całkiem spore, z masywnym karkiem i krótkimi uszami. Pies wyglądał na zagłodzonego, jego żebra były wyraźnie widoczne. Był bez obroży.

Tom woził ze sobą w samochodzie strzelbę, nie nosił jednak pistoletu. Nie znosił przemocy. Miał ze sobą tylko nóż. Nie uśmiechała mu się walka z tym wielkim zwierzęciem, a od auta dzielił go kawałek drogi.

Pies go obserwował.

Ciekawe, skąd się tu wziął, zastanawiał się Tom. Może w okolicy zdarzył się jakiś wypadek samochodowy i kiedy odnaleziono auto i martwego kierowcę, nikt nie wiedział, że był tam jeszcze pies? Mimo pofałdowanego terenu, ludzie często jeździli z nadmierną szybkością po tej wyludnionej okolicy.

- Co tu robisz, mały? - rzekł Tom uspokajającym tonem.

Pies usiadł, ale nie przestał być czujny. Rozglądał się dokoła, ale kątem oka cały czas obserwował Toma.

- Mam coś do jedzenia i wodę w samochodzie. Chodź. Ale nie podchodź do mnie za blisko - dodał z nerwowym uśmiechem.

Odwrócił się i ostrożnie ruszył w kierunku auta. Wolał nie prowokować psa do pościgu. Obejrzał się ukradkiem i zobaczył, że pies go obserwuje, ale nie idzie za nim.

- Chodź, stary. Dam ci wody.

Powtórzył to po raz trzeci, ale tym razem automatycznie dodał: „Do nogi”. Spojrzał na psa.

Zwierzę podniosło się, spojrzało za siebie i wolno ruszyło w kierunku Toma.

Tom zaniepokoił się. Poczul na plecach kropelki potu, mięśnie mu stężały.

Nie bał się. Brownom zawsze się wydaje, że dadzą sobie radę ze wszystkim, bo tego nauczył ich Salty. Był więc po prostu gotowy do walki.

Pies, choć szedł za nim, nie posłuchał komendy: „Do nogi”. Czujnie rozglądał się dokoła.

Ktoś stracił dobrego psa.

W miejscu, do którego zwierzę nie mogło dosięgnąć językiem, widniała rdzawa plama zaschniętej krwi. Pies nie przymilał się ani nie próbował zachowywać się przyjaźnie. Szedł jednak obojętnie za Tomem, jakby był to jedyny kierunek, w którym powinien zmierzać.

Tom zdjął dekiel z koła, opłukał go i nalał do niego wody. Pies siedział w bezpiecznej odległości i przyglądał mu się. Uniósł się na moment, kiedy Tom wlewał do dekła pierwszą porcję wody, lecz przysiadł znowu, kiedy naczynie zostało napełnione.

- Masz, stary - rzekł Tom, wyciągając w jego kierunku dekiel pełen wody.

Pies nie poruszył się. Był trochę niespokojny, szaroróżowy język drżał niecierpliwie, ale zwierzę pozostało na swoim miejscu. Czyżby miał za sobą ciężkie przejścia? Czy ktoś zrobił mu krzywdę, próbując go złapać?

Tom wolniutko zbliżył się do niego. Przez cały czas mówił coś uspokajającym tonem. Postawił dekiel na ziemi mniej więcej w jednej trzeciej odległości między sobą i psem i wycofał się w milczeniu. Pies zaskomlał.

Tom wrócił do auta, wsiadł do środka i cicho przymknął drzwi.

Pies podszedł do dekła, szybko wychłęptał wodę i od razu odskoczył na bezpieczną odległość.

Tom powoli wysiadł z auta, wziął kanapki i dzbanek z wodą, podszedł do dekła i napełnił go znowu. Położył kanapki obok dekła i wrócił do auta.

Zaspokoiwszy pragnienie, pies potrafił już czekać. Siedział i patrzył.

Po chwili Tom wysiadł z auta i zaznaczył miejsce, w którym spotkał psa, układając kupkę kamieni w pobliżu jakiegoś kolczastego, zeschłego krzaka. Na jednej z gałęzi zawiązał chusteczkę.

Wrócił do auta i odjechał, odprowadzany wzrokiem zwierzęcia.

Wieczorem przy kolacji Tom opowiedział swym gospodarzom o psie. Mim Peterson, spokojna, delikatna, trzydziestodziewięcioletnia kobieta, była w kolejnej ciąży. Zawsze bardzo współczuła wszystkim żywym istotom, zainteresował więc ją los bezpańskiego psa.

Tom w sumie sprzedał ponad osiemdziesiąt zdjęć czterdziestoletniego Geo Petersona, którego z trudem udało mu się nakłonić do pozwania. Geo bardzo niechętnie przyjął zapłatę za pozowanie, bo nie mógł zrozumieć, że mu się ona należy.

- Słyszałem, że jest tu w okolicy taki pies - rzekł Geo. - To pewnie jakiś włóczęga.

- Znał komendę: „Do nogi” - zauważył Tom. - Nie wykonał jej dokładnie, ale jednak poszedł za mną.

Geo westchnął głęboko. - Wiesz, co się stanie - rzekł do żony. Mim skinęła głową.

- Sprowadzi go tutaj - powiedziała.

- Znajdziemy miejsce dla jeszcze jednego psa?

- zapytał z niechęcią Geo.

Mim uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała. Dzieci też już wiedziały, co się stanie.

- Ciągłe są z tobą jakieś kłopoty - zauważył Geo. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Geo mówił tak nie tylko wtedy, kiedy Tom robił mu zdjęcia, ale zawsze, kiedy musiał zrobić coś, na co nie miał ochoty. Nie miał ochoty wychodzić

i szukać jakiegoś głupiego psa. Najwyraźniej często musiał w swym życiu robić coś takiego.

Geo zmarszczył brwi i spojrzał niechętnie najpierw na Toma, potem na swą uśmiechniętą żonę.

- Dałeś mu coś jeść? - zwrócił się do Toma.

- Tak.

- To wytrzyma do jutra.

Tom rozpromienił się, dzieci roześmiały się, a Mim wstała, podeszła do męża i pocałowała go.

- Co też człowiek musi zrobić, żeby dostać całusa - mruknął Geo.

Wszystkie dzieci zaoferowały swą pomoc w szukaniu psa i zachwycone patrzyły, jak mama całuje tatę.

Kiedy Mim zbliżyła się do Toma, Geo powstrzymał ją gestem policjanta kierującego ruchem.

- Przekaż to mnie - powiedział.

Mimo protestów Toma Mim usiadła na kolanach męża i obdarzyła go kolejnym pocałunkiem. Geo nie pozwolił jej wstać, przełożył widelec do lewej ręki i kontynuował jedzenie. Od czasu do czasu karmił także Mim, otwierając usta, kiedy ona otwierała swoje, i zamykając, kiedy i ona je zamykała. Tom uznał to zachowanie za bardzo zmysłowe.

Dzieci przyjęły tę zabawę rodziców z uśmiechem, ale bez zdziwienia. Najwyraźniej były do tego przyzwyczajone.

Tom przyglądał im się z zazdrością. Nic dziwnego, że w drodze jest już ich szóste dziecko.

Po posiłku małżonkowie nadal siedzieli w ten sam sposób. Tom pomógł pozbierać naczynia ze stołu i wstawić je do zmywarki. Nie musiał tego robić, ale Mim była przecież w ciąży, chciał więc jej pomóc.

Potem wyszedł na ganek, zajmujący cały front tego dużego, starego domu, i usiadł w bujanym fotelu, który sam kupił i postawił obok foteli należących do Petersonów.

Siedział zamyślony i patrzył w przestrzeń. Nie był zadowolony. Zazdrościł Petersonom tego, co mają, i uczuć, jakie ich łączą.

Bardzo lubił ich dom, znalazł w nim bezpieczny port. Traktowali go tak samo życzliwie i z wyrozumiałością, jak jego rodzice.

Sam sprzątał swój pokój, zmieniał pościel i prał. Miał dostęp do wszystkiego w tym domu. Mógł towarzyszyć Geo w jego codziennych zajęciach i robić zdjęcia. Tylko używanie flesza było zakazane, co, jak się okazało, wyszło tylko na dobre jakości zdjęć.

Większość czasu Tom spędzał w przydzielonym mu kącie stodoły, w którym wraz z Geo urządzili ciemnię.

W całym domu wisiały oprawione zdjęcia. Obok nich oczywiście małe olejne obrazki przedstawiające bławatki. Każdy prawdziwy Teksańczyk musi mieć przynajmniej jeden obrazek z bławatkami.

Jedno ze zdjęć prezentowało ciężarną Mim wieszającą bieliznę na sznurze. Powiewające na wietrze ubrania, nastroszone kurczaki u jej stóp i najmłodsze z Petersonów ciągnące ją za sukienkę stworzyły znakomitą kompozycję.

Kiedy Mim zobaczyła to zdjęcie, zaśmiała się i uderzyła Toma w ramię, ale poprosiła o odbitkę do albumu mającego się dopiero narodzić Petersona.

Następnego dnia Geo musiał pomóc gospodarzowi z sąsiedztwa, któremu zawalił się płot.

Tego rodzaju sprawy zawsze były najważniejsze. Tak więc Geo i wszyscy jego pracownicy udali się do sąsiada, a w domu został tylko Willy, który zajmował się krowami mlecznymi i drobnym inwentarzem oraz pilnował, by dzieci nie pozabijały się, próbując dosiąść kozła.

To dlatego Tom zawiózł Mim do szpitala, kiedy zbliżył się czas rozwiązania. Petersonowie od lat dla bezpieczeństwa

Mim mieli małą radiostację, zadzwonili więc do Geo i kazali mu jechać od razu do szpitala.

Wszystko szło dobrze, dopóki nie zawieziono Mim na salę porodową. Geo, ten niezwykle odważny mężczyzna, zemdłał! Tom był przerażony, ale wszyscy poza nim byli rozbawieni. Geo zawsze mdlał w takiej sytuacji.

I wtedy właśnie Tom ją zobaczył.

Patrzył, jak uwija się po korytarzu, pomaga, podaje sole trzeźwiące. Ubrana była w strój pielęgniarzki - ochotniczki. I nawet na niego nie spojrzała. A on patrzył na tę dziewczynę jak zahipnotyzowany.

Jeszcze żadna kobieta, w jakimkolwiek wieku, nie zachowywała się tak obojętnie w stosunku do Toma, był więc co najmniej zdziwiony. Przyjrzał jej się uważnie i uznał, że jest wspaniała. Szczupła, o doskonałych kształtach. Miodowoblond włosy miała związane w węzeł na karku, opaska podtrzymywała kosmyki nad czołem. Kiedy się uśmiechała, w prawym kącie jej ust pojawiał się mały dołeczek. Żaden z jej uśmiechów nie był przeznaczony dla Toma. Jak ma na imię?

Nie wiedział, jakiego koloru ma oczy, bo nawet na niego nie spojrzała.

Mim była na porodówce, Geo nieprzytomny leżał na podłodze, a Tom myślał tylko o nieznanym kobiecie. Czekał, kiedy na niego spojrzy, żeby mógł się do niej uśmiechnąć. Wiedział, że ma zabójczy uśmiech.

Spojrzała na niego i natychmiast skierowała wzrok na coś poza nim! Potem zajęła się reanimowaniem Geo.

Tom jeszcze nigdy w życiu nie widział kobiety, która byłaby w stanie spojrzeć na niego i nie zauważyć w nim mężczyzny. Był lekko oburzony.

Miał regularne rysy, niebieskie oczy, włosy czarne i lekko kręcone. Zbudowany był podobnie jak Salty w młodym

wieku, tylko trochę od niego wyższy. Kiedy przerósł ojca, poczuł się dumny, choć wiedział, że w tym przypadku to dość idiotyczne uczucie.

Już sam fakt, że Tom potrafił przyznać się, iż było to idiotyczne uczucie, świadczył o jego poczuciu humoru.

Tom wiedział, że dobrze prezentuje się w wysokich butach. Długo obserwował swobodny krok rodowitych Teksańczyków. Nigdy przedtem jeszcze go nie wypróbował, ale przyglądał się Tweedowi i Geo. Wiedział, że potrafi ich chód naśladować. Jeśli Geo umie się tak poruszać w wieku lat czterdziestu, to logiczne, że Tom, mając lat dwadzieścia sześć, będzie robił to jeszcze lepiej. Być może.

Geo powoli dochodził do siebie. Był blady, ale nikt się o niego nie obawiał. Wszyscy bardzo mu współczuli i podziwiali jego miłość do żony.

- Czy już po wszystkim? - zapytał Geo drżącym głosem.

- Jeszcze nie - odparł Tom, ignorując personel. Geo jęknął i machnięciem ręki odsunął sole trzeźwiące.

- Muszę się poddać sterylizacji - mruknął. Zebrani pokręcili niedowierzająco głowami.

- Mówię serio. Więcej już tego nie zniosę.

- Ty nie zniesiesz! - wykrzyknęła jedna z pielęgniarek.

- A tak. Mim musi przestać rodzić dzieci.

- Przecież ktoś jej w tym pomaga - zauważył Tom.

- Jest taka nieostrożna.

- Ona jest nieostrożna! - krzyknęła ta, która nie chciała spojrzeć na Toma.

- Jest taka kusząca - jęknął Geo zbielełymi wargami. - I prowokuje mnie celowo.

- To charakterystyczne, że mężczyźni zawsze winią kobiety - zauważyła pielęgniarka - ochotniczka.

A więc to tak, pomyślał Tom.

- Moja matka ma dwadzieścioro ośmioro dzieci - warknął.

W końcu zmusił ją, by na niego spojrzała. Miała zielone oczy i była całkiem zaskoczona!

- Nie!

- Tak. - Zrobiłby wszystko, żeby dalej na niego patrzyła, dodał więc: - I w dodatku jest aktorką.

- Jak sobie z tym wszystkim radzi?

- To kwestia organizacji - wyjaśnił uprzejmie Tom. Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

W drzwiach stanął uśmiechnięty doktor Sanford z niemowlęciem w ramionach. - Chłopiec!

- Ale przecież obiecał nam pan dziewczynkę! - zaprotestował Geo i wyciągnął ręce po dziecko.

- Widać Pan Bóg zmienił zdanie - wyjaśnił lekarz.

- Ale mamy tylko jedną dziewczynkę! Wszyscy będą ją rozpieszczać. Musimy mieć jeszcze jedną!

- Mim urodziła już sześcioro dzieci - przypomniał mu Sanford.

- Wiem, wiem, ale nie możemy mieć tylko jednej dziewczynki w takiej gromadzie mężczyzn. Pomyśl tylko, co z niej wyrośnie!

- Możecie zaadoptować dziewczynkę - poradziła pielęgniarka - ochotniczka, która nie chciała spojrzeć na Toma.

- Chciałbym, żeby była podobna do Mim - upierał się Geo.

- Gratulacje - wtrącił się z uśmiechem Tom.

- Dzięki, Tom. Damy mu imię po tobie. Chciałbyś być ojcem chrzestnym?

- O, tak! - uradował się Tom. - Będę zaszczycony! Geo pocałował swego nowo narodzonego syna w czoło.

- Zatrzymamy cię - powiedział i podał małego Tomowi. - Muszę zobaczyć Mim.

Tom wziął niemowlę. Kocyk, którym było owinięte, lekko się zsunął, a dzieciak dokładnie w tej chwili zrobił siusiu!

- Ty wstręciuchu! - krzyknął Tom, odwracając głowę. - Jak możesz robić coś takiego swojemu chrzestnemu!

Pielęgniarka - ochotniczka parsknęła śmiechem. Miała uroczy śmiech. Ale śmiała się z niego. Była rozbawiona, bo Tom został obsiusiany przez swego nowego chrześniaka. Przydałaby się jej jakaś twarda, męska ręka. Gotów był zgłosić się na ochotnika. Któraś z pielęgniarek owinęła małego Tommy'ego szczelnie kocykiem.

A ochotniczka przyniosła jednak jakąś szmatkę i sprawnie wytarła Tomowi twarz. Wcale nie miała zamiaru tego robić. Próbowwała podać mu szmatkę, ale obie jego ręce okazały się nagle bardzo zajęte trzymaniem niemowlaka. Udawał w dodatku, że po raz pierwszy trzyma w objęciach niemowlę. Musiała więc sama wytrzeć mu twarz.

Było to coś cudownego.

- Jeszcze na nosie - rzekł Tom, kiedy już miała odejść.

Wytarła i nos.

- Pod lewym okiem - dodał. Wytarła pod okiem.

- Pod brodą - przypomniał, unosząc głowę. Przyglądał jej się spod przymkniętych powiek.

Zawahała się.

Nie była głupia. Zorientowała się, że Tom chce jak najdłużej zatrzymać ją przy sobie. Uśmiechnął się.

Obrzuciła go zniecierpliwionym spojrzeniem i odeszła. Tom spojrzał na trzymane w objęciach dziecko. Przypomniało mu się pierwsze szczenię, które trzymał w rękach.

- Cześć, Thomasie Petersonie - rzekł z czułością. Dziecko wykrzywiło buzię. Jego dolna warga drżała.

- Czeka cię bardzo ciekawe życie - Głos Toma był bardzo delikatny. - Zobaczysz tyle interesujących rzeczy i nauczysz się tego, o czym nawet nie śnisz.

Dziecko ziewnęło.

Tom uśmiechnął się do swego chrześniaka. Potem pewnym ruchem wsparł główkę małego na swej lewej ręce i poprawił kocyk. Kiedy przekładał niemowlę na ramię, podniósł na chwilę wzrok. W drzwiach stała jego niedawna wybawicielka i przyglądała mu się uważnie. Tom znieruchomiał.

Patrzyła na niego jeszcze przez dłuższą chwilę.

- Zaniosę go do łóżeczka - powiedziała w końcu.
- Mogę go sam zanieść. Dobrze mu u mnie. Jestem jego ojcem chrzestnym i czuje się ze mną bezpiecznie.
- Zupełnie nie wiem, dlaczego.
- Czy wyglądam głupio?

Spojrzała na niego, ale nic nie powiedziała. Poprowadziła go do pokoju w końcu korytarza.

Było tam pełno obcych ludzi i Tom wcale nie miał ochoty zostawiać w tym miejscu dziecka.

- Jak się nazywasz? - zwrócił się do towarzyszącej mu pielęgniarki.

Dziewczyna milczała.

- Muszę znać twoje nazwisko, bo chcę wiedzieć, czy mój chrześniak będzie dobrze traktowany.
- Za pokój dziecienny odpowiedzialna jest panna Holsome
- odparła, unosząc głowę.
- A ty gdzie pracujesz?
- Jestem ochotniczką.
- Na jakim oddziale?
- Wszędzie tam, gdzie mogę się przydać.
- Jesteś bardzo dobra w ocieraniu twarzy.
- Wpiszę to sobie do raportu.
- Nazywam się Tom Brown.
- Akurat.

- Naprawdę. Mój tata ma na imię Salty, był marynarzem, a matka nazywa się Felicja.

- I jest aktorką?

- Przez cały czas. Jest cudowna.

- Masz kompleks matki?

- Umiem docenić talent.

Przez chwilę przyglądała mu się w zamyśleniu.

- A ty masz jakiś talent?

- Właśnie nad nim pracuję.

W kącikach jego ust pojawił się leciutki uśmiech.

- Nad czym?

- Jak zmusić opryskliwą kobietę, by opuściła tarczę.

Jestem nieszkodliwy.

Dziewczyna prychnęła.

- Dlaczego nie chcesz uwierzyć porządnemu mężczyźnie?

- A kto potwierdzi, że jesteś porządny?

- Zapytaj Mim.

Dziewczyna na moment straciła pewność siebie.

- Od jak dawna cię zna? - zapytała po chwili.

- Ponad miesiąc.

- Miesiąc!

- Tak. W takim domu, jak ich, to wieki.

- O ile wiem, cały czas spędzasz w stodole.

Tom odchylił lekko głowę i zmrużył oczy. A więc rozpytywała o niego?

- Ale nie za karę - wyjaśnił odrobinę za poważnie.

- Mam tam ciemnię. Jestem fotografem. Czy wiesz, że mam przy sobie aparat? - dodał ni to twierdząco, ni pytająco. - Czy byłabyś tak uprzejma i pottrzymała małego Tommy'ego? Ale nie obudź go. To będzie pierwsze zdjęcie w jego życiu.

- Chyba tak. Ale mógłbyś go położyć... - Rozejrzała się dokoła. W holu nie było żadnego krzesła ani stołu.

- Mogę go potrzymać. Ale może lepiej, żeby to zrobił jego ojciec lub matka.

- Kiedy mężczyzna już od najmłodszych lat może się pokazać z piękną kobietą, nabiera pewności siebie.

Tom zrobił zdjęcia. Na kilku był nawet jego chrześniak. - Musze też sfotografować jego rodziców - rzekł, kiedy zostało mu już tylko kilka klatek.

- Czekaają na dziecko w...

- Na Tommy'ego - poprawił ją Tom. - Na Thomasa Petersona.

- Czekają na Thomasa Petersona w pokoju dziecięcym.

- Najpierw muszę go pocałować. Muszę złożyć na jego czole pocałunek ojca chrzestnego.

Dziewczyna ze zdziwieniem spojrzała na niemowlę, a potem na Toma.

- Ojca chrzestnego?

- Tak. Teraz jestem za niego odpowiedzialny. Gdyby jego rodzice się nie sprawdzili, będę go musiał odpowiednio wychować.

- Nie wyglądasz na pedagoga.

- A na kogo wyglądam?

- Na niebezpiecznego człowieka.

- Nie dla takiego malucha jak Tommy.

Nie odpowiedziała.

Tom nachylił się, musnął policzkiem jej pierś i pocałował małego w czoło. Aby zrobić to odpowiednio, musiał położyć rękę na plecach pielęgniarki - ochotniczki, żeby się nie odsunęła.

Uniósł głowę i spojrzał na dziewczynę. Jej oczy spoglądały na niego z powagą.

- Czy ja naprawdę mogę być dla kogoś niebezpieczny? - zapytał lekko ochryłym głosem.

- Dla kobiet - odparła bez wahania.

ROZDZIAŁ DRUGI

Upewniwszy się, że ani Mim, ani Geo nic od niego nie potrzebują, Tom pojechał sprawdzić, co dzieje się z psem. Na szczęście oznakował dokładnie miejsce ich spotkania, bo inaczej za nic by tam nie trafił.

Dekiel był pusty. Kanapki zniknęły. Wokoło pełno było różnych śladów. To zadziwiające, ile śladów może się pojawić w ciągu dwudziestu czterech godzin w tak pozornie opuszczonym miejscu. Większość śladów była mu nie znana. W Teksasie żyje tyle różnych zwierząt. Myszki łatwo było rozpoznać. Puma? Jedna rzecz była pocieszająca. Nie dostrzegł śladów człowieka.

Pozostały oczywiście jego własne ślady z poprzedniego dnia, ale, co ciekawe, pokrywały je odciski łap psa.

Tom wrócił do auta po strzelbę.

Obszedł miejsce dookoła, tak jak dawno temu uczył go ojciec, a ostatnio Geo. Sprawdzał ślady pumy. Nic nie wskazywało na to, że psu stało się coś złego. Jest taki duży, że może puma wolą go nie prowokować?

Zrobił wspaniałe zdjęcia odcisków łap pumy na własnych śladach. Ten cykl zdjęć postanowił nazwać: „Pościg”. Olbrzymie odciski łap zwierzęcia na śladach ludzkich butów mówiły same za siebie.

Nalał wody do naczynia, obok położył pożywienie i wrócił do domu.

U Petersonów panowało ogromne podniecenie. Najwyraźniej Mim i Geo już wszystkich poinformowali o narodzinach Tommy'ego.

Najstarszy rezultat wspólnych wysiłków Petersonów miał czternaście lat. Nawet on uśmiechał się i kręcił głową.

- Szkoda, że to nie dziewczynka. - Nie mógł się jednak powstrzymać od komentarza.

- Czy moglibyśmy pojechać z tobą do szpitala? Mama i tata powiedzieli, że możemy. Chcemy zobaczyć Tommy'ego. Sprawdzić, czy mamy ochotę, żeby z nami zamieszkał.

- To mój chrześniak! - krzyknął z udawanym oburzeniem Tom.

- Po telefonie od taty długo dyskutowaliśmy. Musimy go obejrzeć i sprawdzić, czy się nadaje.

- Na pewno.

- Nas jest więcej i chyba jakoś uda nam się przeważyc twój zły wpływ.

Zły wpływ? Mim naprawdę powinna nauczyć te dzieciaki szacunku dla starszych.

Późnym popołudniem Tom zapakował całą chmurę dzieciaków do auta i zawiózł je do szpitala. Planował zostawić młodych Petersonów pod opieką Geo i odwieźć do domu dziewczynę, która nie chciała na niego spojrzeć.

- Kiedy ochotniczki kończą zmianę? - zwrócił się do jednej z pielęgniarek.

- Za jakieś piętnaście minut.

Tom uśmiechnął się. Nie zapytał o konkretną osobę, bo w tym położonym na odludziu szpitalu plotki krążą szybciej niż gdzie indziej.

Tuż przed końcem zmiany stanął pośrodku głównego holu. Nie wiedział, które wyjście wybierze dziewczyna, na którą czekał. Zobaczył ją idącą korytarzem z jakąś rówieśniczką.

Tom wyszedł im na spotkanie. Zastąpił im drogę, uśmiechnął się do nieznajomej i ujął ochotniczkę pod ramię. Oczy mu błyszczały.

Zauważyła to, rozchyliła wargi i otworzyła szeroko oczy.

- Przepraszamy panią - zwrócił się Tom do drugiej z dziewcząt.

- No to do czwartku. - Dziewczyna uśmiechnęła się do koleżanki.

Do czwartku, powtórzył w myślach Tom. Dziś jest wtorek. A więc moja wybrana zjawi się tu dopiero w czwartek. Dobrze wiedzieć. Ma całą środę na szukanie tej niechętniej mu istoty.

- Tommy ma się dobrze - zaczęła mówić pielęgniarka. - Jego rodzice też. Geo już potem nie mdlał.

- Przyjechałem, żeby odwiedzić cię do domu - przerwał jej Tom.

- Jestem już z kimś umówiona.

- To powiedz mu, że zmieniłaś plany.

- Nie odwołuję spotkań. Tom udał ogromne zdziwienie.

- Jesteś już na tyle dorosła, że możesz chodzić na randki?

- A ty lubisz nastolatki?

- Młode i świeże. Odwiozę cię do domu.

- Dzięki za dobre chęci, ale nie skorzystam z propozycji.

Wyswobodziła łokieć i ruszyła ku wyjściu.

Przez chwilę patrzył, jak jej wspaniałe ciało kołysze się w rytm szybkich kroków, a potem rzucił się za nią, wyprzedził dziewczynę i otworzył przed nią drzwi.

Minęła go, ale zauważył, że z trudem powstrzymuje uśmiech. To dobry znak. - Gdzie jest ten, z którym się umówiłaś? - zapytał, widząc mężczyznę opartego o jeden ze stojących w rzędzie samochodów. - Moje auto jest tu. Bliżej.

- Stoi przy czerwonym - odparła. Nie odchodziła.

- Przy czerwonym? Którym? - Policzył stojące na parkingu czerwone auta. - Tu są dwa - trzy - cztery - pięć - sześć - siedem - osiem - dziewięć...

- Czeka na mnie, o tam.

Wskazała brodą, ale Tom nawet nie spojrzał w kierunku tego wstrętnego, beznadziejnego mężczyzny, który ani na krok nie oderwał się od swego auta.

- Czy poważnie myślisz o facecie, który nawet nie wyjdzie ci naprzeciw?

- Jeszcze nie.

- To dobrze.

Tom zerknął na stojącego obok czerwonego auta mężczyznę. Wyglądał całkiem sympatycznie. Dobrze zbudowany. Pewnie o dziesięć lat od niej starszy. Zapewne ustabilizowany, marzący tylko o dobrej żonie.

- Wygląda mi na damskiego boksera - rzekł Tom. - Czy twój tata z nim rozmawiał?

- Znam go od dawna. Chodził kiedyś z moją kuzynką.

- Czyżby uznał, że jest dla niego za stara?

- Wyszła za innego.

- Ach tak! Więc teraz szuka pocieszycielki?

- Byli po prostu przyjaciółmi i zawsze spotykali się w szerszym gronie.

- Akurat.

- To moja kuzynka, więc wiem. Ja też często z nimi bywałam.

- Mądrze postąpiła, że go zostawiła. Wygląda na skąpca.

Wybuchnęła śmiechem.

- Powinieneś zostać pisarzem.

- Robię zdjęcia. Nawet mam kilka twoich.

- Znad stawu? - przeraziła się. Tom nadstawił uszu.

- Co takiego dzieje się nad tym stawem? - zainteresował się.

- A więc nie byłeś tam?

- Co się tam odbywa?

- Nie twoja sprawa.

- Pływanie nago?

- Nie zgadłeś.

- Seks? Dziki, gorący seks?

- Nie! - zawołała oburzona.

- Nie wierzę ci.

Zrobiła krok w kierunku mężczyzny stojącego obok czerwonego auta.

- Jak ktoś mieszkający w tej okolicy może sobie pozwolić na takie auto? Jest pewnie egoistą i skąpcem.

- Nie, nie, nie - pokręciła z rozbawieniem głową. Zrobiła znów kilka kroków w stronę właściciela auta.

- Jak długo będzie trwała ta twoja randka? Kiedy wrócisz do domu? Gdzie mieszkasz?

- Jesteś wścibski.

- Pierwszy raz w życiu.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem. Ten wspaniały dźwięk przeniknął Toma do głębi. Jeszcze nie przebrzmiał, a on znów pragnął go usłyszeć.

- Jak się nazywasz? - zapytał.

- Czerwony Kapturek - rzuciła przez ramię. Ruszył za nią.

Stojący przy czerwonym aucie mężczyzna wyprostował się i przyglądał im się uważnie. - Nazywam się Tom Brown - zwrócił się Tom do dziewczyny. - Pochodzę z Ohio, ale studiowałem w Teksasie. Jestem fotografem. Chciałbym, żebyś mi pozowała.

- Nago?

- Skoro nalegasz, ale...

Dziewczyna prychnęła jak rozzłoszczona kotka.

- Jak dama może prychać w ten sposób?

- Jesteś pierwszym mężczyzną, który mnie do tego prowokuje, a to dlatego, że nic a nic ci nie wierzę.

- A czemuż to? - zdziwił się Tom.

- Wyglądasz na niebezpiecznego faceta.

- Już to mówiłaś. Powiedz, jak masz na imię. Mógłbym wejść do szpitala i zapytać, ale wtedy wszyscy będą wiedzieli, że pytałem, i zwrócą na ciebie uwagę.

- Myślisz, że już nie zwrócili? Czy wiesz, że w chwili kiedy przerwałeś moją pogawędkę z Billy Jean, wszyscy rzucili się do okien i wiedzą już, że się za mną uganiaasz?

- Skąd wiesz?

- Billy Jean jest...

- Nie pytałem o Billy Jean. Skąd wiesz, że się za tobą uganiam? Chciałem cię tylko odwiedzić do domu i umówić się z tobą na konną przejażdżkę, żebyś mógł zrobić ci zdjęcia. Płacę swoim modelom. Zapytaj Geo. Doprowadzam go do szau, ale jest tak fotogeniczny, że sprzedaję wszystkie jego zdjęcia. Założę się, że z tobą będzie tak samo. Jesteś taka naturalna. Będiesz świetną modelką, a musiałem podejść cię w ten sposób, bo nie chciałaś mi powiedzieć, jak masz na imię

- zakończył z powagą.

Zarumieniła się, a w jej przypadku było to coś oszałamiającego.

- Myślałam, że jesteś podrywaczem - mruknęła. - Owszem, jestem, ale od czasu do czasu pochłania mnie też praca. Polega ona na robieniu zdjęć, a do tego potrzebuję modeli. Idź na górę i zapytaj Geo, czy można mi ufać. Ja tymczasem powiem temu tam, żeby się zmył, a potem odwiozę cię do domu.

Zawahała się i spojrzała na niego badawczo.

- Porozmawiamy w czwartek,

- Będę tu.

- Potrafisz zabajerować kobietę.

- Tylko wówczas, jeśli ona tego chce.

- A jeśli nie chce? - zapytała i spojrzała na niego spod przymkniętych powiek.

- Jestem fachowcem.

Mogła uznać, że ma na myśli fotografowanie.

- Ten tam wygląda na zaniepokojonego, możesz więc nie całować mnie na do widzenia.

Otworzyła usta ze zdziwienia i głęboko westchnęła. Nie przychodziła jej do głowy żadna odpowiedź.

- Cześć, nazywam się Tom Brown - rzekł Tom, podchodząc do stojącego przy aucie mężczyzny. Był nawet na tyle bezczelny, że wyciągnął ku niemu rękę.

- Garth Pippins - odparł zaskoczony mężczyzna i odruchowo ujął wyciągniętą dłoń.

- Słyszałem, że wkrótce opuszczasz to miasto. Kiedy to będzie?

Garth ze zdziwieniem spojrzał na pielęgniarkę. Dziewczyna pokręciła głową i wzniosła oczy ku niebu.

- Nigdy ci nic takiego nie mówiłam - zwróciła się do Toma.

- Nie mówiłaś, że to tajemnica! - skomentował niewinnie Tom.

- Prawdę mówiąc, jesienią będę musiał wyjechać na dziesięć dni do Fort Worth - wtrącił Garth.

Tom pokiwał głową.

- Do zobaczenia we czwartek - zwrócił się do dziewczyny. - Bądź grzeczna - dodał znacząco.

- Jeszcze nigdy nie spotkałam takiego...

- Wiem. Musisz przestać uwodzić mężczyzn.

- Uwiodłaś go? - przeraził się Garth.

- Ależ... - zaczęła.

- Jest bardzo subtelna. Teraz już powinna zachowywać się rozsądnie - uspokoił go Tom.

Garth nie wiedział, co myśleć, a dziewczynie nie przychodziło do głowy nic, co dama powinna w takiej sytuacji powiedzieć!

Tom poklepał ją po ramieniu i odszedł, zanim zdążyła go spoliczkować. Ruszył do auta.

Na szosie minął ich dwukrotnie, a potem zwolnił, żeby oni z kolei musieli go wyprzedzić. Za każdym razem uśmiechał

się i machał do nich ręką. Dowiedział się jednak, gdzie mieszka jego nowa znajoma.

Potem pojechał w odwiedziny do burmistrza, którego zastał przy podkuwaniu konia. Zrobił mu kilka zdjęć przy tej robocie.

Przedstawił się jako lokator Petersonów. Geo był znany w okolicy i szanowany, Tom nie potrzebował więc lepszej rekomendacji.

Rozmawiał z burmistrzem o urodzie Teksasu, fotografowaniu i swoich planach osiedlenia się w tej okolicy. Zapytał, do kogo należy dom stojący tuż przy skrzyżowaniu. Podoba mu się i jest zainteresowany możliwością kupna tego budynku.

Wkrótce dowiedział się, że ochotniczka ze szpitala nosi nazwisko McCrea. Dowiedział się też, że państwo McCrea może kiedyś sprzedadzą swój dom, ale... za sto lat, nie wcześniej.

Następnego dnia, choć było mu to zupełnie nie po drodze, dwukrotnie przejechał obok jej domu. Wychowany wśród sióstr wiedział, że każda dorosła panna, siedząc w domu, jednym okiem zerka na drogę, żeby wiedzieć, kto przejeżdża. Chciał, żeby panna McCrea wiedziała, że się nią interesuje.

Podjechał także na wzgórze i uzupełnił psu wodę i jedzenie. Zrobił kolejne zdjęcia odcisków łap. Minęły już dwa dni, odkąd widział go po raz ostami. Czyżby odszedł?

A może nie żyje?

W czwartek rano, uzbrojony w strzelbę, Tom udał się na poszukiwanie psa. Pogwizdywał z cicha, a raz czy dwa użył nawet palców, by dźwięk był głośniejszy i dłuższy.

Czekał, nasłuchując. Żadnego dźwięku. Nawet ptaki się uciszyły.

Popołudnie spędził w stodole z Kyle'em, jednym z synów Geo, który też interesował się fotografią. Wywoływał kolejne rolki filmu i pokazywał chłopcu, jak to się robi.

Zdjęcia były znakomite. Tom nie miał pojęcia, że w okolicy, którą uważał za bezludną, żyje tyle stworzeń. Będąc synem Geo, Kyle znakomicie znał się na zwierzęcych śladach.

- To pancernik. A to lis. Tutaj mamy grzechotnika.

Tom zaniemówił. Czy pies wie, jak strzec się grzechotników? Co spowodowało tę ranę na jego boku? Na pewno jakieś potężniejsze zwierzę.

Wywoławszy film, Tom pokazał Kyle'owi pierwsze zdjęcia przedstawiające psa.

- Słyszeliśmy, że jest tu w okolicy jakiś pies. Widziałeś go! Od pewnego czasu giną w okolicy kurczaki i wszyscy myślą, że to za sprawą kojotów.

Późnym popołudniem Tom pojechał z kwiatami do szpitala odwiedzić Mim.

- Jak ma na imię panna McCrea, która miała tu dyżur we wtorek? - zapytał.

- Susan Lee - odparła automatycznie Mim, skupiona na trzymanym w objęciach maleństwie.

Tom uśmiechnął się. A więc jego nowa znajoma nazywa się Susan Lee McCrea.

Ucieszył się, kiedy spotkał ją w korytarzu. Szła zanieść małego Tommy'ego Petersona z powrotem na oddział noworodków.

- Cześć, Susan Lee McCrea - rzekł, unosząc uprzejmie kapelusz.

- Kto ci powiedział, jak się nazywam?

Tom wymienił więc dwie osoby, u których zasięgał języka. Pierwszą był burmistrz.

- Znasz Johnny'ego Boya?

- Całkiem dobrze.

- Mim też nie umie trzymać języka za zębami?
- Była bardzo zajęta moim chrześniakiem, więc zapytana, automatycznie wymieniła twoje imię.

Uśmiechnął się do niezadowolonej Susan Lee.

- Zdobędę cię, zobaczysz - dodał.
- Nie ma mowy - odparła dumnie.
- Będę czekał o piątej, żeby odwieźć cię do domu.
Omówimy sprawę pozowania.

- Nie jestem modelką.
- Jesteś dokładnie taką dziewczyną, jakiej potrzebuję.
Będę czekał na parkingu. Odwiozę cię do domu.

Niedługo później zjawiała się jedną z wolontariuszek. Zobaczywszy Toma, uniosła brwi i szeroko otworzyła oczy. Potem uśmiechnęła się i zarumieniła.

- Mam dla ciebie wiadomość - powiedziała.
- To bardzo miłe z twojej strony. Dziękuję. Ale skoro się widzimy, to czy nie możesz przekazać mi jej ustnie?
- To nie jest wiadomość ode mnie, tylko od Susan Lee.
- A, tak. Znam ją. Dziękuję.

Otworzył zaklejoną kopertę. W środku rzeczywiście była zapisana kartka.

Nie czekaj na mnie. Jedź do domu. Susan Lee McCrea.

Tom przez chwilę spoglądał na list i zastanawiał się, co zrobić. Potem pożegnał się z Petersonami i poinformował ich, że nie będzie go w domu na kolacji.

Wyszedł na parking i, oczywiście, zastał tam Gartha Pippinsa. Stał przy swym czerwonym samochodzie i czekał na Susan Lee McCrea.

Podszedł do niego i przywitał się.

- Mogę ci przekazać wiadomość od Susan Lee?

Było to typowe teksaskie ni to stwierdzenie, ni pytanie.

- Wiadomość? W jakiej sprawie?

- Nie wiem, nie czytałem. Chcesz, żebym ci przeczytał?

- Nie, nie. Przeczytam sam.

Garth otworzył kopertę i przeczytał: „Nie czekaj na mnie. Jedź do domu. Susan Lee McCrea”.

- Pewnie ma dużo pracy - rzekł Garth, spoglądając na Toma. - To bardzo miłe z twojej strony, że przyniosłeś mi tę wiadomość. Dziękuję.

- Nie ma za co.

- Czy ktoś ją potem odwiezie, czy też mam przyjechać tu jeszcze raz?

- Chyba jedna z wolontariuszek jest samochodem. Susan Lee prosiła, żebyś sobie nie robił kłopotu.

- No to chyba pojedę.

- Chyba tak - zgodził się Tom.

- Powiedz Susan Lee, że zadzwonię do niej jutro.

- Jeśli ją zobaczę, na pewno to przekażę.

- Ostatnio rzeczywiście mają tu mnóstwo roboty.

Tom ukradkiem spojrzął na szpitalne drzwi. Chciał jak najszybciej pozbyć się Gartha.

- Jedź ostrożnie.

- Jasne. Dzięki.

- Cześć.

Taka odpowiedź Toma nie zachęcała do dalszej rozmowy. Tom ruszył wolno w kierunku drzwi, nasłuchując chciwie odgłosu silnika czerwonego samochodu.

Wszedł do środka i od razu oczywiście natknął się na Susan Lee.

- Już wychodzisz? - zdziwił się. Nie mogła wyjść, bo zastąpił jej drogę.

- Zazwyczaj wychodzę o tej porze - odparła.

- Wątpię. Czasami jest pewnie takie zamieszanie, że przydaje się każda para rąk.

- To bardzo dobrze zorganizowany szpital i takie rzeczy się nie zdarzają - wyjaśniła grzecznie Susan Lee.

Tom wiedział, że musi zatrzymać ją jeszcze przez chwilę. Nie był wcale pewien, czy Garth już odjechał.

- Czy nie uważasz, że mój chrześniak jest najpiękniejszym niemowlęciem w całym szpitalu? - zapytał.

- To kwestia gustu.

- Sama to wymyśliłaś?

Susan Lee wybuchnęła śmiechem.

- Zjesz dziś ze mną kolację? - zapytał trochę już spokojniejszy Tom. - Rozmawiałem z burmistrzem o twoim domu. Może byś mi go sprzedała? Porozmawiajmy o tym, dobrze?

- Nie.

- Nie chcesz go sprzedać?

- Nie. To nie jest mój dom. I nie, dziękuję, jestem już umówiona.

- Umówiona! A można wiedzieć, z kim?

- Z Garbem. Idziemy na tańce.

- Naprawdę? - Tom w zamyśleniu pokiwał głową. - Odprowadzę cię - rzekł po chwili.

Uznał, że niebezpieczeństwo już minęło, Garth odjechał i Susan Lee może wyjść na parking.

- To bardzo uprzejme z twojej strony.

Na schodach Susan Lee rozejrzała się dokoła. Wyciągnęła nawet szyję, ale nigdzie nie widać było czerwonego samochodu i stojącego przy nim Gartha.

- To dziwne - powiedziała.

- Co jest dziwne? - zapytał z uprzejmym zainteresowaniem Tom.

- Garth zawsze czeka na mnie o tej porze.

Tom aż wspiął się na palce, żeby ogarnąć wzrokiem cały parking.

- Rzeczywiście, masz rację! Nigdzie go nie widzę. Nie martw się, pewnie zaraz nadjedzie.

Ale Garth nie nadjechał.

- Nie musisz tu ze mną czekać - powiedziała Susan Lee.

- Lubię być z tobą. To dla mnie pewna odmiana. Jak wiesz, u Petersonów jest zbyt wielu mężczyzn. Miło czasem porozmawiać z kobietą. Robisz mi uprzejmość, pozwalając słuchać swego głosu.

Rozmawiali więc, a Susan Lee nawet się śmiała. Tom opowiedział jej o psie i o wywoływaniu zdjęć z Kyle'em, o tych wszystkich śladach, które znalazł tam, gdzie wcześniej widział psa, i o tym, że niepokoi go jego los.

Susan Lee słuchała z zainteresowaniem. Obserwowała jego twarz, a on mówił z coraz większym przejęciem. Okazało się, że ma nawet w samochodzie kilka wywołanych już zdjęć.

- Może jednak odwiozę cię do domu? - zaproponował w pewnej chwili. - Garth pewnie już się nie zjawi.

- Sama nie wiem...

- Jest już za piętnaście szósta. Gdyby miał po ciebie przyjechać, na pewno już by tu był. Może złapał gumę.

- Chyba tak.

- Odwiozę cię i zobaczymy, czy zostawił dla ciebie jakąś wiadomość.

- Naprawdę chcesz mnie odwieźć? Po tym liściku, który ci posłałam?

- Będzie mi bardzo miło.

ROZDZIAŁ TRZECI

Tom znał drogę, bo przecież jechał już kiedyś za Garthem. Kątem oka obserwował siedzącą obok niego Susan Lee McCrea. Był to widok dla męskich oczu bardzo przyjemny. Była taka cudowna, że aż czuł dziwny ucisk w żołądku. Inne części jego ciała reagowały w sposób nieco odmienny, ale za to o wiele gwałtowniej.

Jej ciało było wspaniałe. Wszystko - oczy, nos, usta, szyję, piersi - miała wręcz doskonałe.

- Dobrze się prezentujesz w moim aucie. - Nie mógł się powstrzymać od komentarza.

Obdarzyła go wyrozumiałym spojrzeniem osoby mającej do czynienia z tępym idiotą z uporem powtarzającym głupoty.

- Czy muszę siedzieć w twoim aucie, żeby się dobrze prezentować? - zapytała z lekką ironią.

- Wyglądałabyś dobrze nawet w zardzewiałej balii na środku rzeki. Powinienem raczej powiedzieć, że dzięki tobie moje auto dobrze się prezentuje.

- Widzę, że masz wprawę w prawieniu wyświechtanych komplementów.

- Nigdy jeszcze żadnej kobiecie czegoś takiego nie powiedziałem - odparł.

Oderwał wzrok od drogi, żeby mogła spojrzeć mu w oczy i przekonać się o szczerości jego słów.

Susan Lee na moment się zawahała. Prawie mu uwierzyła. - Komplementarz potrafi przekonać kobietę, że jest pierwszą, której to mówi - powiedziała jednak.

- Ale ty mi nie uwierzyłaś, nie jestem więc komplementarzem. To fakt, nie jestem i mówiłem wszystko z głębi serca.

- Taki mężczyzna jak ty bez wątpienia tak często oferował swoje serce, że pewnie wiele mu z niego nie zostało.

- Daj mi rękę.

- Potrzebujesz pomocy?
- Daj rękę - powtórzył z naciskiem.

A ona podała mu rękę! Oboje byli tym zdziwieni. Tom przycisnął jej dłoń do swojej piersi i spojrzał jej w oczy.

- Czujesz?
- Co?

Tom odwrócił wzrok. Patrzył teraz na drogę.

- Moje dudniące serce. Bije szybciej, niż powinno, bo siedzisz w moim aucie i trzymasz rękę na mojej piersi. Mam tylko nadzieję, że wytrzyma to napięcie i podniecenie.

Zaśmiała się rozbawiona i nawet nie zauważyła, że zmienił trasę.

- Śmiejesz się ze mnie - poskarżył się.
- Podoba mi się twoje poczucie humoru.
- Co jest zabawnego w fakcie, że serce bije mi jak młotem, bo twoja dłoń spoczywa na mojej piersi? Jeszcze nigdy nie przeżyłem czegoś tak podniecającego.

Susan Lee wybuchnęła śmiechem.

- Widzę, że mi nie wierzysz. To bardzo nieładnie z twojej strony. Tyle razy słyszałaś mężczyzn mówiących podobne rzeczy, że już żadnemu z nich nie wierzysz. Ilu mężczyzn straciło przytomność umysłu, bo dotknęłaś ich piersi swą małą dłonią? Dopiero w tej chwili Susan Lee uświadomiła sobie, jak duże są jego ręce. Jej własne wręcz w nich tonęły. Chciała spojrzeć mu w oczy, ale nie odrywał wzroku od drogi.

- Wolałabym, żebyś trzymał kierownicę obiema rękami... Hej, a dokąd my jedziemy?

- Chcę, żebyś zobaczyła miejsce, w którym widziałem tego psa. Mieszkasz tu, więc na pewno dobrze znasz całą okolicę.

- Mam iść na tańce w remizie.
- Zdążymy. Mam bilety.

- Czy ty sobie wyobrażasz, że zamiast z Garthem pójde tam z tobą?

- To proste. Zawiozę cię.

Obdarzył ją szybkim, badawczym spojrzeniem.

- Czy zawsze stosujesz takie sposoby?

- Jestem nowicjuszem. Byłem zrozpaczony, a ty nie przychodziłaś mi z pomocą. Chodziłaś z zadartym nosem i ignorowałaś mnie. Gdyby nie jeden czy dwa twoje uśmiechy, może bym nawet zrezygnował.

- Jesteś zawzięty jak buldog! - powiedziała. - Czy ty przypadkiem nie odstraszyłeś czymś Gartha? - dodała podejrzliwie.

- Nie.

- Czy coś mu powiedziałaś?

- Kiedy?

- Kiedykolwiek.

- O ile pamiętam, to dwa dni temu przedstawiłem mu się i podałem mu rękę. Poznawszy mnie pewnie zrozumiał, że nie ma żadnych szans.

- Skromny jesteś.

- My, wszyscy Brownowie, jesteśmy skromni.

- Macie też zapędy dyktatorskie. Powiedziałam ci, że muszę wracać do domu. Dokąd mnie wiesz?

- Żebyś zobaczyła, gdzie spotkałem tego psa - odparł.

- Nie mam na to czasu.

- Na tylnym siedzeniu mam kanapki i piwo. Dzwoniłem też do twojej mamy.

- Kiedy?

- Zanim wręczyłem Garthowi list od ciebie - odparł z uśmiechem.

- Jaki list?

- Ten, w którym każesz mu nie czekać, tylko jechać do domu.

- Co?
- Ten, w którym każesz mu nie... - powtórzył ochoczo Tom.
- Jemu? Ta wiadomość była przeznaczona dla ciebie!
- Nie! Naprawdę dla mnie?
- Tak! Chciałam, żebyś przestał się pętać po szpitalu i zawracać mi głowę.
- To ty mi zawracasz głowę. Ledwo mogłem w nocy spać.
- Jesteś podrywaczem.
- Nie. - Tom dwa razy wolno pokręcił głową. - Jestem miłym chłopakiem z Ohio, który czuje się samotny. Potrzebuję twego towarzystwa, żebym nie musiał iść na te tańce w remizie sam i stać gdzieś na uboczu, ignorowany i opuszczony.
- Aż trudno mi uwierzyć, że ktoś mógłby mieć tyle pewności siebie, by cię ignorować. Czy jesteś komiwojażerem?
- Nie. Jestem wybitnym fotografem, niepokoję się losem zaginionych psów i próbuję znaleźć jakiś sposób, żeby zwrócić twoją uwagę. Musiałem spotkać się z tobą sam na sam, z daleka od tych rozświergotanych wolontariuszek, i ocalić cię przed tym nudnym i przyziemnym Garthem.
- Jest bardzo miły.
- Jest nudny i pospolity - odparł zdecydowanie Tom.
- A ty wyjątkowy i podniecający?
- Jestem tym, na kogo czekałaś od chwili, kiedy zdałaś sobie sprawę, że chłopcy i dziewczynki nie bez powodu się od siebie różnią.
- I jesteś skromny.
- Tak. Godzę się też z losem i akceptuję moją rolę w twoim życiu. - Rozglądał się dokoła, niezbyt skupiony na własnych słowach. - To musi być gdzieś tu. Szukaj chusteczki

przywiązanej do gałęzi krzaka wyrastającego spośród skał. O rany, musiałem ją przeoczyć. Bardzo mnie rozpraszasz.

- Mogę wrócić do domu.

- Powrót autostopem jest zbyt ryzykowny. Mogłabyś znowu trafić na jakiegoś nieodpowiedniego mężczyznę.

- A więc mnie odwieź.

- Oczywiście, że odwiozę. We właściwym czasie. Nie bądź taka niecierpliwa. Muszę dać psu trochę wody.

No, właśnie. Czy ktoś mógłby zaprotestować przeciwko napojeniu zabłąkanego stworzenia?

Przemierzyli w tę i z powrotem ten sam kawałek drogi. Zjedli kanapki, Susan Lee wypła jakiś napój, a Tom piwo.

- Jedno mi nie zaszkodzi - wyjaśnił. - Taka ilość alkoholu zupełnie na mnie nie działa. Dwa piwa, to co innego. Gdybym wypił dwa, musiałabyś bardzo uważać na swoje zachowanie. Po dwóch piwach robię się zbyt poufały.

- Będę uważać. - Pamiętaj, że cię ostrzegałem. Nie nalegaj, bym wypił drugie, chyba że lubisz niespodzianki.

- Nie będę.

- Jesteś zbyt uległa. Powinnaś jeszcze skłonić główkę i... O, jest. Dokładnie tutaj.

- Co?

- Moja chusteczka.

- Wielki Boże! Jak ją zauważyłeś? Tom przyhamował i zjechał na pobocze.

- Wszyscy Brownowie mają znakomity wzrok. Zawsze widzimy to, co potrzeba.

- Jak ja się tu z tobą znalazłam na takim odludziu?

- Dobrze wiesz, że Petersonowie - każde z nich z osobna - obdarliby mnie ze skóry, gdybym choć tknął cię palcem. Na razie więc jesteś bezpieczna.

- To prawda.

- Ale mam samochód i kartę kredytową przy sobie, mógłbym więc uciec, gdybyś za bardzo mnie kusiła. Lepiej będzie, jeśli na razie postarasz się nie okazywać tego, jak bardzo jesteś mną zauroczona.

Zatrzymał auto i spojrzał na nią z uśmiechem. - Już po raz drugi mówisz: „na razie”. O co ci konkretnie chodzi?

- Spróbuj nie okazywać, jak bardzo jesteś mną zauroczona.

Zaczerpnęła tyle powietrza, że aż się zakrztusiła. Tom uniósł jej ramię wysoko do góry i spojrzał na nią z zachwytem.

- Chyba ci mówiłem, żebyś przestała mnie prowokować - rzekł z uśmiechem.

- Zgadza się. Przepraszam - odparła z sarkazmem.

- Postaraj się.

- Dobrze. Tom wysiadł z auta i otworzył tylne drzwi, żeby wyjąć strzelbę.

Susan Lee ze zdumienia otworzyła szeroko oczy.

- Widziałem ślady pumy - wyjaśnił Tom. - Zostań w aucie. Napełnię dekiel. Wolałbym przymocować go z powrotem do koła, ale boję się, że gdybym wziął coś innego, pies myślałby, iż mam wobec niego złe zamiary. Ktoś go musiał kiedyś skrzywdzić. Patrz - szepnął nagle. - Tam na wzniesienie, między krzakami. Jest! Bałem się, że uciekł. A tymczasem jest i widzę go już po raz drugi!

Prawdopodobnie w tej chwili naprawdę ją sobą zainteresował. Zaczynała rozumieć, jakim jest człowiekiem.

- Umiesz strzelać? - zapytał.

- Tak - odparła cichutko.

- Osłaniaj mnie, gdyby pojawiła się puma. Nie mogę wziąć ze sobą strzelby, jeśli chcę z nim porozmawiać. Zobacz. Nie odszedł.

Ostrożnie przesunął strzelbę.

- Uwaga. Nie chcę, żeby pies ją zauważył. I tak jest przerażony.

- Rozumiem.

- Jest zabezpieczona.

- Widzę.

- Spróbuję do niego podejść.

- A jeśli cię zaatakuje? - szepnęła.

- Mam nóż. Strzelaj dopiero wówczas, kiedy mnie powali na ziemię.

- O Boże.

- Szs. Nie bój się, wrócę.

Tom wziął dzbanek i torbę z resztkami jedzenia. Obszedł auto i wkroczył na ścieżkę. Starał się nie zasłaniać dziewczynie psa. Susan Lee otworzyła okno. Odbezpieczyła strzelbę. Starła się zachować spokój.

Dekiel był pusty. Jedzenie zniknęło.

- Gdzie się podziewałeś, stary? - spytał Tom. - Podjadłeś trochę, co? Lepiej wyglądasz. Należę ci wody. Możesz się napić. Woda czeka. Jest też coś do zjedzenia. Zjedz, zanim ktoś inny cię ubiegnie.

Pies słuchał. Czasami rozglądał się dokoła, ale cała jego uwaga skupiona była na mężczyźnie.

Głos Toma był łagodny i uspokajający. Zdaniem Susan Lee, wręcz kuszący. Spodziewała się, że pies natychmiast podejdzie do Toma. Gdyby był suką, pewnie by tak zrobił.

Tom przykucnął i namawiał psa, aby się zbliżył. Na próżno.

Spojrzał na zegarek. Robiło się późno. Powinien odwiedzić Susan Lee do domu, żeby mogła się przebrać, zanim pójda na tańce.

Uniósł się wolniutko, równocześnie cicho tłumacząc psu, co robi.

Wrócił do auta, cały czas osłaniany przez uzbrojoną Susan Lee.

- Byłaś bardzo dzielna - rzekł, wyjmując jej z rąk strzelbę.
- Gdybym kiedykolwiek jeszcze był w niebezpieczeństwie, marzyłbym o takiej osłonie - dodał całkiem poważnie.

- Dziękuję - powiedziała, także z powagą.

Obserwowali psa, a on obserwował ich. Ponieważ zwierzę najwyraźniej nie miało zamiaru się ruszyć, dopóki nie odjadą, Tom zapalił silnik i wolniutko ruszył. Pies pozostał na miejscu.

- Zje to, co mu przyniosłeś? - zapytała Susan Lee.

- Tak.

- Teraz, kiedy już ci ufa, mógłbyś dodać mu do jedzenia jakieś środki usypiające.

- Nie - odparł Tom. - Muszę poczekać, aż sam się zdecyduje do mnie zbliżyć. Gdybym go uśpił, po obudzeniu wpadłby w panikę i zaatakował nas.

- Chyba masz rację.

- Ja bym tak zrobił - rzekł Tom. - Gdyby ktoś mnie nabrał, byłbym wściekły.

- A mnie nabrałeś.

Tom na moment oderwał wzrok od drogi i spojrzał jej w oczy.

- Istniało niebezpieczeństwo, że zwiążesz się z durniem. Nie nabrałem cię, tylko ocaliłem.

Susan Lee wybuchnęła śmiechem.

- Ależ ty sprytnie potrafisz się wykręcić!

- Po prostu mówię prawdę.

- Ale Gartha nabrałeś - przypomniała.

- On się nie liczy. Wiesz, że ciebie nigdy bym nie oszukał. Zawsze będę wobec ciebie szczery i uczciwy.

- Zbyt wcześnie składasz deklarację.

- Chcę, żeby między nami wszystko zaczęło się jak należy.

- A czy kiedyś z kimś zaczynałeś, jak nie należy? - zapytała.

- Ile masz lat?

Przyjęła propozycję zmiany tematu.

- Dwadzieścia cztery - odparła.

- Aż tyle?

- Tak - odparła z uśmiechem.

Tom usłyszał rozbawienie w jej głosie.

- Nie wierzę - skomentował. - Myślałem, że masz szesnaście i że uda mi się cię jeszcze dobrze wychować.

- Co to dla ciebie znaczy „dobrze”? Tom nie zawahał się ani przez chwilę. - Żebyś była posłuszna, uległa, pokorna i potulna. Susan Lee machnęła ręką i lekko wzruszyła ramionami.

- Przykro mi.

- Być może nie jest na to za późno. Jeszcze może nam się udać. Wszystko zależy od ciebie. Spróbujemy. Ale już wiem, że nie będzie to takie łatwe, jak myślałem - zakończył z głębokim westchnieniem.

- Jeszcze nigdy nie spotkałam mężczyzny mówiącego w taki sposób.

- To typowe dla ludzi z Ohio.

- Hej, a dokąd jedziemy?

- Jesteśmy niedaleko od domu Petersonów, więc pomyślałem, że najpierw ja się przebiorę, a potem pojedziemy do ciebie. Od Petersonów będziesz mogła zadzwonić do mamy i uprzedzić, że jesteś w drodze.

- A ona nie wie, że jestem z tobą?

- Pewnie myśli, że obściskujesz się z Garthem na jakiejś bocznej drodze.

- Czyżbyś sugerował, że z Garthem byłabym bezpieczna, nawet na pustej, bocznej drodze?

- Z Garthem? - W jego głosie zabrzmiało zdziwienie. - Oczywiście.

- A z tobą? Czy z tobą jestem bezpieczna?

- To się okaże.

Spojrzał na nią i na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech, a w oczach zamigotały figlarne iskierki.

- Nie rozumiem, jak możesz być taki złośliwy.

- To przez ciebie. Nigdy w życiu jeszcze się tak nie zachowywałem.

- Nie wierzę ci - mruknęła.

Skreśli w drogę wiodącą do domu Petersonów. Było tu dziko i pusto. Żadnych śladów cywilizacji. Susan Lee rozejrzała się dokoła. - Czy to właściwa droga?

- Boisz się?

- Ja...

- Obiecałem, że będę się grzecznie zachowywał, jeśli i ty będziesz grzeczna.

Susan Lee zamilkła i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w szybę samochodu.

- Sama nie wiem, co tutaj robię z tobą w tej dzikiej okolicy - powiedziała w końcu.

- Poznajemy się, żebyś mogła się ze mną lepiej czuć.

- A dlaczego miałabym tego chcieć?

- Będzie nam łatwiej, kiedy zaczną się rodzić nasze dzieci - odparł z powagą.

Susan Lee westchnęła z irytacją.

- Nie niecierpliw się. Już dojeżdżamy - uspokoił ją Tom.

- Czy ktoś będzie w domu? Tom spojrzał na zegarek.

- Chyba tak.

- Chyba!

- No, tak. Ktoś musi pilnować gospodarstwa. Nie jestem tylko pewien, kto. - Obrzucił ją krótkim spojrzeniem. - Zachowujesz się tak, jakbyś się czuła osaczona. Tego etapu jeszcze nie zacząłem.

- Co powiedziałeś?

- Jak w każdym planie bitwy, przewidziałem kolejność ruchów, której muszę się trzymać.

- Jakiej bitwy?

- Szturmowania bastionów, by ocalić cię przed Garthem i nieznośnym życiem, jakie cię z nim czeka. Założę się, że szybko zaczęłabyś mieć bóle głowy zamiast ochoty na seks. Nie przeżywałabyś z nim niczego cudownego. Byłoby to zwykłe spółkowanie. A w dodatku on za każdym razem czułby się speszony i zakłopotany. Już niedługo, moja słodka, zrozumiesz, że jestem twoim wybawcą. Skorzystaj z okazji, póki jestem tobą zainteresowany.

- To czysty idiotyzm!

- Czy ty naprawdę chcesz być dziewczyną Gartha? Nie mogę na to pozwolić. Zniszczyłby cię i twoją impulsywność. Gdybym cię nie spotkał, stałabyś się nieszczęśliwa i zgorzkniała. Na pewno nie chciałabyś przeżyć czegoś takiego. Trzymaj się mnie, a wszystko będzie dobrze.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że dopiero się poznaliśmy?

- Szczęściara z ciebie.

Susan Lee zamilkła. Spoglądała na mijane drzewa, zbliżającą się zwirową aleję i profil Toma. Kilkakrotnie otwierała usta i nabierała powietrza, jakby chciała coś powiedzieć.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił w końcu Tom.

I rzeczywiście. Stali przed dużym, pozbawionym piwnic budynkiem. Na szerokiej werandzie stało kilka wygodnych bujanych foteli. Dom był dwupiętrowy i rozbudowany.

Mógłby pomieścić nie tylko całą rodzinę, ale i pewnie każdą liczbę gości.

Nagle przed dom wyległa gromada dzieci, psów, kotów, koza i stary człowiek z fajką, która na pewno przeraźliwie śmierdziała. W drzwiach stanął także Geo.

Było późne popołudnie i nikt nie spodziewał się ich przybycia.

- Nie ruszaj się. Otworzę drzwi - rzekł Tom, wysiadł z auta i przeciągnął się. Potem obszedł samochód, pomachał do zaciekawionej gromadki i otworzył drzwi samochodu. Zupełnie niepotrzebnie ujął Susan Lee za łokieć i pomógł wysiąść. Kiedy zbliżali się do werandy, w drzwiach pojawiła się Mim. - Witaj, Susan Lee! - powiedziała. - Miło cię widzieć.

- A ty co robisz w domu tuż po porodzie? - zdziwiła się Susan Lee.

- Czułam się tam taka samotna. I Tommy też już chciał zobaczyć, gdzie będzie mieszkał.

Susan Lee roześmiała się. W końcu nawet się rozluźniła. Przywitała się z dziećmi i mimowolnie zatkała nos, kiedy zbliżyła się do Willy'ego.

- Susan Lee pewnie chciałaby się odświeżyć - zwrócił się Tom do Mim. - Pojechaliliśmy uzupełnić psu wodę i jedzenie. Widzieliśmy go. Wciąż tam jest! Nie podszedł do nas, ale i nie uciekł.

- Moglibyśmy coś dodać do następnej porcji jedzenia - powiedział Geo.

Tom potrząsnął głową.

- Wolałbym tego nie robić. Chcę, żeby przyszedł do mnie z własnej woli.

Geo spojrział na swoje psy.

- Czy ty myślisz, Tom, że marzymy o porządnej, zażartej psiej walce na śmierć i życie? Czy tego chcesz?

- Skądże! Nie jestem barbarzyńcą.
- Aha - mruknął bez przekonania Geo.

Kiedy Tom wrócił już wykąpany, w czystej koszuli i krawacie, zastał Susan Lee na werandzie zaśmiewającą się z opowiadanych jej przez dzieci historyjek. Trzymała w ramionach najmłodszego Petersona i Tomowi wydało się to najnaturalniejszą rzeczą na świecie.

- Czy wolisz zostać tutaj, czy pójść na tę wspaniałą zabawę w remizie? - zapytał.

- Chyba raczej pójdę na zabawę i wyjaśnię... - przerwała i oblała się rumieńcem.

- Dzwoniłaś do mamy?

Skinęła głową.

- Ty też do niej dzwoniłeś - powiedziała z naganą w głosie.

- Oczywiście.

Ostrożnie wyjął Tommy'ego z jej objęć. Trzymał go z daleka od swego czystego ubrania.

- Bądź grzeczny, dobrze? Mówi do ciebie twój surowy i poważny przyszły ojciec chrzestny. Zapamiętaj mój głos.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Od czegoś muszę zacząć - rzekł Tom. - Przecież odpowiadam za jego wychowanie.

- W razie czego możecie liczyć na mnie - zaproponowała Susan Lee.

- Obawiam się, że nie będziesz miała na to czasu - odparła Mim i spojrzawszy na Geo, wybuchnęła śmiechem.

Odprowadzani przez całą rodzinę, Tom i Susan Lee wsiedli do auta.

- Dlaczego miałabym nie mieć czasu? - zapytała Susan Lee.

- Będiesz ze mną - odparł bez chwili wahania Tom. - Staniesz się tak mną oczarowana, że będę cię musiał wszędzie brać ze sobą, uwieszoną mojej szyi i ramienia.

Bardzo ją to rozbawiło. Wybuchnęła perlistym śmiechem.

- Masz bardzo ładny śmiech, wiesz o tym? - rzekł Tom.

- Jesteś taki zabawny.

- Wcale nie. Na razie staram się być poważny i szczerzy.

Jego słowa spowodowały kolejny wybuch śmiechu dziewczyny.

Pojechali do domu Susan Lee i Tom spędził parę minut z jej ojcem na werandzie, podczas gdy ona się przebierała. Ojciec Susan Lee był bardzo nieufny i zadał wiele dobrze przemyślanych pytań, na które Tom szczerze odpowiedział.

- Ten Geo Peterson zna się na ludziach - zakończył pan McCrea.

Tom nie mógł się z nim nie zgodzić.

- Mój brat, Tweed, pracuje u Sama Fullera - poinformował.

McCrea skinął głową. Wiedział już o tym wcześniej. W ogóle chyba więcej wiedział o Tomie niż on sam.

Zabawa w remizie była bardzo udana. Wszystkie kobiety chciały tańczyć z Tomem, ale on tańczył tylko z Susan Lee, a pozostałych mężczyzn trzymał od niej z daleka.

- Jestem egoistą - wyjaśnił jej całkiem poważnie. Był znakomitym tancerzem, szczególnie mistrzem w teksaskiej polce. Susan Lee była zadowolona z partnera i powiedziała mu to.

- Skoro najwyraźniej postanowiłeś, że przetańczysz ze mną wszystkie tańce, cieszę się, że przynajmniej jesteś w tym dobry.

- A więc Garth nie umie tańczyć? - domyślił się Tom. I to był celny strzał. Zarumieniła się i spuściła oczy, bo była zbyt prawdopodobna, by zaprzeczyć.

Tom miał przy sobie mały kieszonkowy szwajcarski aparat i zrobił kilka zdjęć.

Zabawa trwała do późna. Wszyscy znakomicie się bawili. Tom dobrze się czuł wśród zgromadzonych tu ludzi, łatwo zapamiętywał twarze i imiona. Był zabawny i dowcipny i wszyscy, szczególnie kobiety, od razu go polubili. Susan Lee też świetnie się bawiła! Śmiała się i flirtowała z Tomem i bardzo dużo tańczyła.

- Pora do domu - rzekł w końcu Tom.

Susan Lee przeciągnęła się w niesamowicie zmysłowy sposób i ziewnęła.

Tom patrzył na nią rozpalonym wzrokiem i uśmiechał się, uśmiechał i uśmiechał.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kiedy opuszczali remizę, Tom nie pożegnał się z nikim. Susan Lee oczywiście to zauważyła. Domyśliła się, że nie chce, by ktokolwiek zorientował się, ile czasu upłynie między ich wyjściem a dotarciem do jej domu. Nie chciał też, by ktoś za nimi pojechał.

Prowadząc ją przez tłum, z przyjemnością trzymał rękę na wilgotnym materiale jej sukienki, ale na dworze natychmiast narzucił na Susan Lee marynarkę. Nie chciał, żeby zmarzła.

Oczywiście nie wybrał najkrótszej drogi. Ktoś mógł odjeżdżać o tej samej porze i nieumyślnie pojechać za nimi. Nastawił kasetę z jakąś saksofonową muzyką i jechał w milczeniu. Co jakiś czas kątem oka spoglądał na Susan Lee. Była zmęczona, ale najwyraźniej zadowolona.

Wyglądała cudownie.

- A tym razem dokąd jedziemy? - zapytała w końcu.
- W jaki sposób poznajesz, którędy jedziemy?
- To płot pana Fredericka. Zawsze przywiązuje do niego dwa kawałki sznurka.

- Czemu?

- Jest trochę dziwny. Zabrzmiało to dość ogólnikowo.

Tom zdjął więc stopę z pedału gazu i przeniósł ją na hamulec.

- Co się dzieje? - zapytała Susan Lee. - Chcę cię pocałować, a nie mogę równocześnie prowadzić i radzić sobie z podnieceniem.

- O, nie.

- O, tak. Chcę ci pokazać, co się będzie ze mną działo, kiedy mnie pocałujesz. To może być dla mnie za wiele. Nie chcę, żebyś siedziała w aucie, nad którym nikt nie panuje.

- Dziwny jesteś.

- Wcale nie. To wy, Teksasczycy, jesteście jakby z innej planety. No, dobrze. Trzymaj się, bo za chwilę cię pocałuję.

- Nie możesz tego zrobić.
- A dlaczego?
- Jeszcze na to za wcześnie. Znam cię od... - spojrzała na zegarek - zaledwie od dziewięciu godzin i sędzę, że nie powinno się całować obcej kobiety.

- Więc przyznajesz, że jesteś obca?

- Dla ciebie tak.

Tom odetchnął głęboko jakieś pięć razy, a potem wprawnym ruchem odpiął najpierw swój, a potem jej pas bezpieczeństwa. Wsunął ręce pod pachy dziewczyny, obrócił ją ku sobie i pocałował.

Było to coś wyjątkowego.

Oblał ich żar, poczuli szum w uszach.

Susan Lee stała się miękka i bezwładna, Tom jakby ze stali. Kiedy powolutku oderwał od niej usta, w nagłej ciszy słyhać było odgłos ich rozłączających się warg. Tom zadrżał, Susan Lee także. Było to paralizujące przeżycie.

Siedzieli bez ruchu, oddychając ciężko. Gdzieś niedaleko zaśpiewał jakiś ptak.

- Słyszysz? - z trudem wyjąkał Tom. Susan Lee nie była w stanie odpowiedzieć.

- To słownik - podtrzymywał rozmowę Tom. Z zamkniętymi oczami i bladymi wargami Susan Lee z trudem zmusiła swe struny głosowe do pracy.

- Zaniepokojone ptaki czasami śpiewają. Ten pocałunek...

- Przedtem nie śpiewały - zauważył Tom.

- Jechaliśmy z otwartymi oknami i szum wiatru zagłuszał ich trele.

- Jak możesz być taka logiczna po tym, co przed chwilą przeżyliśmy?

- Wcale to na mnie nie podziałało - wyjąkała, nadal blada i z zamkniętymi oczami.

Więc, oczywiście, znowu ją pocałował.

Kiedy później w ten sam zmysłowy sposób oderwał wargi od jej ust, Susan Lee wsunęła palce we włosy i spróbowała je jakoś uporządkować.

- Dzięki za odwiezienie - szepnęła, wciąż niezdolna do otwarcia oczu.

Serce mu zadrżało. Oblizął wargi. Płonącymi pożądaniem oczami patrzył, jak dziewczyna po omacku szuka torebki. Spódnicę miała wysoko podciągniętą do góry. Nachyliła się ku drzwiom, szukając klamki.

- Do widzenia - wymamrotała, otwierając nogą drzwiczki.

Spojrzał ponad jej głową na oświetlony blaskiem księżyca płot.

- Jeszcze nie dojechaliśmy na miejsce - zauważył.

- Nie dojechaliśmy... dokąd?

- Do twojego domu. Jak tam dojedziemy, będziesz mnie musiała znowu pocałować.

- Nie - odparła stanowczo.

- Dlaczego?

- Boję się - mruknęła.

Tom był jak sparaliżowany. W końcu udało mu się otworzyć drzwi i wysiąść.

- Nie zostawiaj mnie tu samej - poprosiła cicho Susan Lee.

- Nie zostawię. Muszę tylko odrobinę unieść tył samochodu.

- Koła buksują?

- Jeszcze nie.

- Chyba masz zamiar jakoś temu zapobiec, żebym nie musiała spędzić tu z tobą nocy i narazić na szwank mojej reputacji?

- Czyżbym słyszał w twoim głosie nutkę nadziei?

Susan Lee nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Jeszcze nie tym razem - wyjaśnił jej z rezygnacją Tom.

W samochodzie zapanowała cisza. Było ciepło i przytulnie. Słownik nadal wyśpiewywał swoje trele. Nocne powietrze było jak wino. W pełnym blasku księżyc trawa, liście i gałęzie połyskiwały srebrzyście. Nawet auto zmieniło kolor. Było pięknie jak w bajce.

- Lepiej będzie, jeśli pozwolisz mi się teraz pocałować i odwieźć do domu, bo jest tak pięknie i cicho, że mógłbym zasnąć, czekając. Nie udałoby ci się przesunąć na tyle, żeby zająć moje miejsce za kierownicą i pojechać do domu.

- Mogłabym po prostu wysiąść i otworzyć drzwi, o które się opierasz. Potem wsiadłabym z powrotem i wypchnęła cię nogami.

- I zostawiłabyś mnie samego na drodze? Jesteś bez serca! Pocałunek naprawdę będzie lepszym rozwiązaniem.

Susan Lee zastanawiała się przez chwilę.

- No, może jeden malutki.

- To na początek.

Spojrzała na niego karcąco.

- Mówiłeś o jednym.

- Ale miałem na myśli pocałunek długi i namiętny. Nie chcę tylko muśnięcia wargami.

- Nie mówiłeś, o jaki rodzaj ci chodzi. Wspomniałeś tylko o pocałunku.

- Tak. Masz rację. Byłem za mało konkretny. Powiedz więc, na jaki rodzaj się zgadzasz?

- Ponieważ jestem wykończona holowaniem cię przez cały wieczór po parkiecie i uczeniem kroków, mogę się zdobyć tylko na jeden maleńki pocałunek - wyjaśniła.

- Cóż za skąpstwo! - oburzył się Tom.

- Owszem!

- Potrzebuję czegoś, co mógłbym później wspominać.

- Nie potrafię ci tego zapewnić.

- Ciekawe! Skoro nie potrafisz, to przez kogo już dwukrotnie byłem w stanie bliskim ekstazy?

- Może to twoja wyobraźnia?

- Nie byłbym w stanie wyobrazić sobie twojej reakcji, tych westchnień, ciepła twojej skóry i...

Susan Lee milczała. Potem odwróciła głowę i spojrzała na Toma. Patrzył przed siebie. Odwróciła się i też spojrzała przez szybę.

- Co widzisz? Czy tam ktoś jest? - szepnęła.

- Księżyc. Jesteś gotowa?

- Naprawdę tego chcesz?

- Tak.

- Ale tylko jeden maleńki? - upewniła się.

- Dobrze.

Zamknęła oczy i podała mu usta.

Tom nachylił się i obrócił ją ku sobie tak, żeby było mu wygodnie. Pocałował ją. Ich ciała splecione w uścisku ogarnął żar pożądania. Drżeli. Brakowało im tchu.

Kiedy w końcu Tom oderwał wargi od ust Susan Lee, dziewczyna spoczywała bezwładnie, wciąż do niego przytulona. Jego wielka dłoń gładziła uspokajająco jej plecy. Muskularne ramie podtrzymywało jej głowę. Zaś jego druga ręka była zupełnie nie tam, gdzie powinna.

Oczy Susan Lee były znowu zamknięte.

- Przestań - powiedziała z wysiłkiem.

- O co ci chodzi?

- Zabierz rękę.

- Tę? - Potarł lekko jej plecy.

- Drugą.

Zsunął więc drugą dłoń na jej brzuch, a potem znowu przesunął pod pierś, unosząc ją lekko do góry.

- Tę - udało jej się wyszeptać.

Tom ujął pierś dziewczyny w dłoń i lekko ją ucisnął.

- Tę?
- Przestań.
- Lubię to robić.

Milczała. Jej oczy nadal były zamknięte.

- Zasnęłaś?
- Przestań.
- Co przestać?
- Poruszać tą ręką.

Przestał więc ugniatać miękką półkulę i po prostu trzymał ją w dłoni.

- Jesteś lubieżny - udało jej się wyjąkać.
- Taak.
- Przyznajesz się? - zdziwiła się, szeroko otwierając oczy.

Tom wzruszył ramionami.

- Tylko przed tobą. Nikt nas nie podsłuchuje. A jeśli komuś o tym powiesz, zaprzeczę. A ponieważ jestem mężczyzną, wszyscy mi uwierzą.

- Umieszczę to w mojej rozprawie.
- A więc będziesz prowadzić nade mną badania?

Rozepnij mi koszulę.

- Będę badała twój... umysł - odrzekła ostrożnie.
- Chcesz wiedzieć, o czym teraz myślę?
- Nie.
- Zdobędę cię, Susan Lee McCrea.
- Nie.

- Tak. A ponieważ w końcu obdarzyłaś mnie przyzwoitym pocałunkiem, ja...

- Ty to nazywasz przyzwoitym pocałunkiem?
- Tak.

- Aż się boję zapytać, co dla ciebie byłoby pocałunkiem namiętym.

- Nie wiem - przyznał. - Tak jeszcze nikogo nie całowałem.

- A co to, twoim zdaniem, było?

- Chodzi ci o to?

I oczywiście znów ją pocałował, tak samo jak poprzednio. Jęknęła i wbiła paznokcie w jego ramiona. Oderwał wargi od jej ust.

- O co chodzi? - zapytał ochryple.

- Puść... mnie.

- Jak możesz być tak oziębła?

- Proszę. Puść... mnie.

Chcąc nie chcąc, wypuścił ją z objęć. Zabrało mu to trochę czasu. Wolniutko potarł twarzą miejsce, gdzie jej szyja łączyła się z ramieniem. Miał leciutki zarost i było to niesamowicie podniecające. Musiał też odzyskać kontrolę nad swymi dłońmi, bo wędrowały zupełnie nie tam, gdzie powinny.

W końcu odsunął się od niej.

- Jesteś wolna - rzekł i czekał na reakcję dziewczyny.

Musiała zebrać wszystkie siły, żeby oderwać się od niego i usiąść na fotelu. Nie było to łatwe.

- Całujesz mnie w ten sposób, a potem chcesz, żebym prowadził auto? - poskarżył się.

- A nie możesz?

- Z trudem.

- To może ja spróbuję. Gdzie są kluczyki?

- W stacyjce.

Susan Lee wyciągnęła rękę i przekręciła kluczyk.

- Masz zamiar prowadzić, siedząc na tym fotelu? - zapytał z lekką irytacją.

- Tak. Nie odważyłabym się usiąść ci na kolanach.

Zrozumiał jej obawy, ale pomimo to bardzo, bardzo się podniecił na samą myśl o trzymaniu Susan Lee na kolanach.

- Ja poprowadzę - rzekł.

- Czy wiesz, gdzie jesteśmy i jak dojechać do mojego domu?

- A nie chcesz pojechać do mnie?

- Na miłość boską, Tom, przestań się wygłupiać!

- To znaczy, że ja jadę do ciebie? A co na to rodzice? Twój ojciec nie jest chyba szczególnie gościnnie.

- Nie. Odwiedzisz najpierw mnie, a potem wrócisz do Petersonów. Przecież tam mieszkasz.

- Taak. Aż trudno mi uwierzyć, że po takim pocałunku potrafisz być taka rozsądnie myśląca.

- To właśnie dlatego ja prowadzę te badania i ja napiszę na ich podstawie pracę.

Tom otoczył ramieniem kierownicę i przyglądał się Susan Lee.

Siedziała wyprostowana. Wygladziła spódnicę na kolanach i rozejrzała się dokoła.

- Jeśli chcesz, bądź niezależna. Masz niewiele czasu. Korzystaj, póki możesz.

- Masz zamiar mną... rządzić? - Susan Lee przechyliła głowę i spojrzała na Toma wyzywająco.

- Nie będziesz miała nic przeciw temu - zapewnił ją Tom. Włączył silnik i zawrócił.

Wkrótce zajechali przed dom Susan Lee.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł Tom.

- To był bardzo miły wieczór - powiedziała z uśmiechem Susan Lee, kładąc rękę na klamce. - Jesteś naprawdę dobry. Dzięki za pomoc w zbieraniu materiału do mojej rozprawy. Dobranoc.

Tom też wysiadł. Spotkali się przy masce auta.

- Brownowie zawsze odprowadzają swoje kobiety pod drzwi.

Susan Lee przyspieszyła kroku i rozejrzała się po oświetlonej blaskiem księżycą okolicy.

- Jestem bezpieczna - odparła.

- Jesteś wyjątkowa - poprawił ją Tom. Machnęła ręką ze zniecierpliwieniem.

- Nie. Jestem zupełnie zwyczajną kobietą. Po prostu wszystkie kobiety są wyjątkowe. - Na moment znacząco zawiesiła głos. - Szczególnie dla mężczyzn, którzy czegoś od nas chcą.

- Czegoś chcą? - zdziwił się, doganiając ją na stopniach prowadzących na werandę. - Czego? - zapytał z uśmiechem.

Znowu machnęła dłonią, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że nie warto o tym dyskutować.

- Upranych skarpetek, ugotowanych posiłków, pocałunków...

- Trafiłaś w samo sedno!

Skoro więc o tym wspomniała, objął ją, przyciągnął blisko do siebie i obdarzył kolejnym pocałunkiem. A całował tak samo namiętnie, jak poprzednio.

Jej ciało omdlewało w uścisku ramion Toma, które były jak żelazne obręcze. Czowała na wargach usta chciwe i nienasycone. Susan Lee cichutko jęczała z rozkoszy.

Kiedy Tom w końcu wypuścił ją z objęć, oparła się o ścianę werandy bezwładna jak szmaciana lalka.

Tom też był kłębkim nerwów. Wykonał kilka dziwnych, nieskoordynowanych ruchów i rozejrzał się nieprzytomnie dokoła.

- Zadzwoń do ciebie - wymamrotał w końcu. Susan Lee kiwnęła głową.

- Czy drzwi są zamknięte na klucz? - zapytał. Susan Lee pokręciła głową.

Tom otworzył drzwi i przytrzymał je. Susan Lee ani drgnęła. Tom zamknął drzwi. Czyżby nie chciała wchodzić? Czy chce zostać na dworze... z nim? Tom nie był pewien, czy

potrafiłby znieść jeszcze jeden taki pocałunek i nadal trzymać się wpojonych mu przez rodziców zasad.

- Czy chcesz tu jeszcze ze mną zostać? - zapytał. Susan Lee pokręciła głową.

- Mam ci pomóc wejść? - domyślił się. Kiwnęła głową.

Tom otworzył drzwi, a jego ręce pomogły jej wejść. Nie odwróciła się, po prostu szła.

- Zamknij drzwi - wymamrotała.

Z której strony ma je zamknąć? Czekał, oddychając gwałtownie.

- Dobranoc - rzuciła przez ramię i zniknęła w ciemnościach korytarza.

Trzeba wracać do Petersonów. Ale jak tego dokonać? Zdecydował, że najpierw odwiedzi psa.

Ze strzelbą w ręku rozglądał się dokoła. Jak te zwierzęta to robią, że nigdy nie udało mu się żadnego z nich zobaczyć? Może śpią, a on jest jedynym, który czuwa?

Gdzieś w oddali zawył kojot. Tom westchnął. Sam miał ochotę odchylić głowę do tyłu i wyć.

Zawył. Wył do księżyca, a jego głos rozbrzmiewał echem w całej okolicy.

Dziękował Bogu, że dane mu było poznać taką podniecającą dziewczynę i że miał okazję odczuwać podniecenie. Spacerował w samotności, jak król gór, który poradzi sobie ze wszystkim.

Wrócił w końcu do auta, pojechał do Petersonów i stąpając na palcach, udał się od razu do swego pokoju. Boso przemknął do najbliższej łazienki i wziął prysznic. Później położył się do łóżka, gotów do walki z niesamowicie realistycznymi snami.

Rano powitał go kolejny piękny dzień. Słońce świeciło, ptaki śpiewały, zwierzęta wydawały najprzeróżniejsze odgłosy.

Tom przeciągnął się, a przypomniawszy sobie swoje nocne wycie, uśmiechnął się do siebie. Przeciągnął się ponownie i poczuł się wspaniale.

Włożył dżinsy, koszulę, wysokie buty i zszedł na dół na śniadanie. Przygotował je Willy, ale bułeczki upiekła Mim.

W stodole zużył mnóstwo papieru na odbitki zdjęć z zabawy w remizie. Postanowił dać je Susan Lee, żeby mogła je podarować tym, których przedstawiały.

Tych, na których była ona, zrobił najwięcej.

Jak to możliwe, że tak szybko się zakochał? A może to tylko pożądanie? Zmrużył oczy, przyglądając się jej twarzy na zdjęciu. Czy naprawdę jest taka wyjątkowa? Jak można w to wątpić? Jest cudowna. Doskonała.

Większość zdjęć przedstawiających Susan Lee schował do koperty, a pozostałe zaniósł Mim. Oglądała je z zachwytem. Opowiadała mu rodzinne historie widniejących na nich osób, mówiła o ich wzajemnym pokrewieństwie i znaczeniu ich rodzin w okolicy. Podała też nazwiska mężczyzn, którzy pragnęli zdobyć serce Susan Lee.

- Jak do tego doszło, że to ty zabrałaś Susan Lee na te tańce? - zapytała. - Myślałam, że chodzi z Garthem Pippinsem.

- Nie, nie z nim.

- No, więc jak do tego doszło, że poszła z tobą? - nalegała Mim.

- Powiem ci, kiedy będziesz starsza i potrafiś to lepiej zrozumieć.

Jego słowa wzbudziły ciekawość Mim. Zaciekały ją, ale postanowiła na razie nie domagać się dalszych wyjaśnień.

Był to najlepszy dowód, że Sam Fuller miał rację, nakłaniając Toma, żeby zamieszkał u Petersonów. Sam nie chciał, by Tom poddawany był ciągłemu wypytywaniu. W tak

niewielkiej społeczności każdy znał każdego i ludzie bez przerwy plotkowali.

Mim ledwo była w stanie poskromić swoją ciekawość.

Oczywiście, poprosiła Geo, by dowiedział się, jak doszło do tego, że to właśnie Tom towarzyszył Susan Lee na zabawie. Zwróciła tym jego uwagę na całą sprawę.

Koło południa Geo też zajrzał do stodoły, by obejrzyć zdjęcia, bo na kilku była Mim i Tommy oraz on sam, leżący zemdłony na podłodze w szpitalu. Był stuprocentowym mężczyzną, nie przeszkadzało mu więc zupełnie, że ktoś uwiecznił go w takiej sytuacji.

- Jak do tego doszło, że przyszedłeś z Susan Lee na zabawę do remizy? - zapytał Toma, kiedy po obiedzie wyszli na werandę.

Tom przez chwilę obserwował okolicę, potem niedbałym gestem poprawił kapelusz.

- Obawiam się, że nie masz teraz czasu, by wszystkiego wysłuchać - odparł.

A Geo wybuchnął śmiechem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Ktoś jedzie drogą - rzekł nagle Geo.

- Skąd wiesz? - spytał Tom.

- Myszołowy z lekkim trzepotem uniosły się nad drzewa. Robią tak, kiedy ktoś jedzie zbyt szybko. A ten ktoś najwyraźniej bardzo się spieszy.

- Skąd wiesz, że to myszołowy? Przecież stąd nie widać, co to za ptaki.

- Byłem rano w tym zagajniku. Wstaję o przyzwoitej porze - dodał, spoglądając na Toma z wyższością. - Nie gniję w łóżku, jak niektórzy.

- Nie byłeś wczoraj na zabawie.

- To prawda.

- Spodziewasz się kogoś? - zainteresował się Tom, zanim Geo zdążył po raz kolejny zapytać, jak do tego doszło, że zabrał Susan Lee na tańce.

- Nie. I właśnie dlatego stoję tu z tobą i rozmawiam o niczym. Chcę zobaczyć, kto to.

- W razie czego będę cię osłaniał - obiecał odważnie Tom.

Geo spojrzał na niego z pobłażaniem i oblizał wargi, nie przedłużając już tej czczej paplaniny.

- To chyba ktoś do ciebie - powiedział, kiedy samochód wynurzył się z lasu. - Poznaję auto Gartha Pippinsa.

- A niech to! - rzekł z uśmiechem Tom.

- Kłopoty?

- Nic, z czym bym sobie nie dał rady.

- No to chyba nie będę się wtrącał, ale zostanę w pobliżu. Spraw się dobrze. Muszę dbać o swoją reputację.

Garth zaparkował przed domem, wyłączył silnik, otworzył drzwi i wysiadł. Obszedł auto i biodrem oparł się o maskę. Przywitał Geo skinieniem głowy, a Toma przygwoździł groźnym spojrzeniem.

Ponieważ Tom za każdym razem widział Gartha przy aucie, domyślił się, że jest to coś bardzo dla niego ważnego, coś, co daje mu poczucie siły. Choć sam nie przebywał w pobliżu samochodu, o który mógłby się oprzeć, przybrał najbardziej wojowniczą postawę, jaką znał.

- Chciałbym zamienić z tobą słowo - rzekł Garth, wskazując na Toma brodą.

Geo złożył ręce na piersiach i w milczeniu przyglądał się Garthowi.

- Tylko jedno? - zapytał uprzejmie Tom. - Jak ono brzmi?

- Ten list był do ciebie.

- To przecież całe zdanie - zauważył po chwili zastanowienia Tom.

W jego głosie zabrzmiała jednak ostrzegawcza nutka.

Geo spojrzał na Toma już innym wzrokiem i poczuł się swobodniej.

- Oszukałeś mnie i Susan Lee - rzekł ostro Garth.

A Tom tylko się uśmiechnął.

Garth poczerwieniał.

- Ona napisała ten list do ciebie! - powtórzył.

- A ja dałem go tobie i wszystko dobrze się skończyło.

Geo z zaciekawieniem spoglądał to na jednego, to na drugiego mężczyznę.

- Zostaw Susan Lee w spokoju! - krzyknął gniewnie Garth. - Słyszysz mnie?

Tom w bezradnym geście rozłożył ręce.

- Mam ten sam problem co ty, Garth - rzekł.

- Nie mam żadnego problemu.

- To dobrze. A więc nie ma problemu.

- O co ci chodzi?

- Myślałem, że masz słabość do Susan Lee.

- Bo mam! - krzyknął ostro Garth.

- No, cóż, ja też. Mamy więc ten sam problem.

- Staram się o Susan Lee od ponad sześciu miesięcy.

Tom słuchał uprzejmie i czekał.

- Ona należy do mnie - musiał w końcu powiedzieć Garth.

- A czy ona o tym wie?

- Przez cały ten czas ze sobą chodziliśmy.

- Może do niedawna nie miała nikogo lepszego na widoku.

- Chcę, żebyś się trzymał od niej z daleka. Rozumiesz?

- Przykro mi, Garth, ale zbyt mi na niej zależy. Niech zwycięży lepszy.

- Zdaje się, że szukasz guza, stary.

Tom wzruszył ramionami.

- Co ma być, to będzie. Nie jestem tu u siebie - dodał. - Nie mogę sprawiać kłopotów moim gospodarzom. Może spotkamy się gdzie indziej?

- Nie będzie powodu. Powiedziałem ci, co chcę, żebyś zrobił, i jeśli masz dość rozsądku, posłuchasz mojej rady.

- No... - zaczął Tom.

Ale Garth odwrócił się, szybko wsiadł do auta i z piskiem opon odjechał.

- O jakim liście on mówił? - zapytał Geo, kiedy przestali się śmiać.

- Susan Lee napisała do mnie kartkę, każąc mi iść do domu i nie czekać na nią. Proponuję, żebyś zachował tę informację dla siebie i powiedział o tym Mim w jakiejś szczególnej sytuacji, kiedy będzie ci zależało na uzyskaniu przewagi - poradził Tom.

- Chytry z ciebie facet. Powiedz mi tylko, dlaczego Susan Lee napisała ten list i w jaki sposób udało ci się przekazać go Garthowi?

- Na kopercie nie było adresata, a w środku tylko jej podpis. Wyrzuciłem więc kopertę, złożyłem kartkę i dałem ją Garthowi, który czekał na parkingu, żeby odwieźć ją do domu.

Geo był pełen podziwu.

- Jak ty coś takiego wymyśliłeś!?
- Wydało mi się, że to dobry pomysł. I udało się.
- Sam Fuller nawet nie wspominał, że jesteś taki sprytny.
- Sam zna Tweeda, który jest chyba najszlachetniejszym z Brownów. Poznał też Salty'ego, który przez pewien czas mieszkał u niego wraz z Felicją. Oni są prawi i uczciwi. Wprawdzie Tweed mieszkał u nas tylko przez dwa lata, a ja jestem jednym z rodzonych dzieci Brownów, ale Sam myślał, że i ja jestem szczerzy i uczciwy.

Geo kiwnął głową na znak, że zrozumiał.

- Jesteś naprawdę wyjątkowy. Jak zareagowała Susan Lee, kiedy wydało się, co zrobiłeś?

- Od razu jej o tym powiedziałem. Była oburzona, ale odwróciłem jej uwagę, zawożąc tam, gdzie spotkałem psa. I nie miała nic przeciwko pójściu na tańce ze mną. Gartha tam nie było.

- Więc ktoś mu musiał powiedzieć, że byłeś tam z Susan Lee.

- Zrobiła to prawdopodobnie połowa obecnych.

- On nie zrezygnuje.

Tom kiwnął kilka razy głową.

- To możliwe.

- Wiesz, jak sobie z nim poradzić?

- Wychowałem się w grupie co najmniej pięćdziesięciu dzieciaków. Salty nie pozwalał nam na żadne wybryki czy kłamstwa, ale czasami zdarzało nam się bić. - Tom podszedł bliżej i spojrzał na Geo. - A więc sądzisz, że będę musiał walczyć z Garthem?

- Być może.

- No i co z tego?

- Jest trochę od ciebie lepiej zbudowany.

- A ja mam dłuższe ręce.

- Już się nad tym zastanawiałeś?

- Tak. Od tego pierwszego razu, kiedy wyszedłem z Susan Lee ze szpitala i zobaczyłem go, jak czeka na nią przy aucie. Czy myślisz, że on w nim sypia?

- Wcale bym się nie zdziwił.

Tom wybuchnął takim wspaniałym, gardłowym, pełnym pewności siebie śmiechem, że Geo poklepał go po ramieniu i też się roześmiał.

- Chcę przy tym być.

- Poproszę cię o to, jeśli będę potrzebował sekundanta. Ale nie bój się, dam sobie radę. Salty nauczył nas jednak paru rzeczy. Moi rodzice wychowali dwadzieścioro ośmioro dzieci, kilkanaścioro innych znalazło u nich na jakiś czas schronienie. Tweed był jednym z nich.

- Chciałbym poznać Salty'ego.

- I Felicję. Są w jednej drużynie.

- Zaproś ich tu kiedyś. A tak przy okazji, Tom, wiedz, że zawsze możesz na mnie liczyć.

- Dzięki.

Chwilę później Tom zadzwonił do Susan Lee.

- Dzień dobry, kochanie - rzekł z czułością.

- Garth dzwonił do mnie - powiedziała gniewnie, ignorując pieszczotliwe słówko. - Był wściekły, że zabrałeś mnie na zabawę.

- Co powiedział?

- Powiedział, że go zaskoczyłam. Dokładnie tak się wyraził. Czy możesz w to uwierzyć? Powiedział, że rodzice źle mnie wychowali, bo zachowałam się zupełnie nie jak dama.

Tom nie mógł jej okazać, jak bardzo się z tego ucieszył.

- Tak ci powiedział? - Udał oburzenie. - A ty co na to?

- Nie mogłam mu przecież powiedzieć, że jest świnią.

- No, tak, dama by się tak nie wyraziła - zgodził się z nią Tom.

- Wobec tego zaproponowałam mu, żeby się wypchał.

Z trudem powstrzymując rozbawienie, Tom nadał swemu głosowi poważne brzmienie.

- I co on na to?

- Nie wiem. Odłożyłam słuchawkę.

- I słusznie. Od razu powinnaś to zrobić. Jak tylko...

- Nie pozwolił mi nic wyjaśnić.

- Straszny z niego gbur.

- Prawdę mówiąc, to wszystko przez ciebie. Zdenerwowałeś go i sprawiłeś, że się na mnie obraził.

Tom postanowił przejść do kontrataku.

- Jego dzisiejsze zachowanie świadczy o tym, jaki naprawdę jest. Nie zasługuje na ciebie.

- Ten list...

- Dowodzi, kim w rzeczywistości jest Garth Pikkins.

- Pippins - poprawiła Susan Lee.

- Wszystko mi jedno: Pikkins czy Pippins. Masz szczęście, że w porę ukazał swoje prawdziwe oblicze.

- On się czuje bardzo nieszczęśliwy.

Ten komentarz Susan Lee poważnie zaniepokoił Toma.

- Czy tak ci powiedział?

- Powiedział, że nie jestem damą i...

- Jesteś najkulturalniejszą i najlepiej wychowaną panną, jaką...

- Był oburzony moim zachowaniem.

- Czy było to zachowanie dla ciebie nietypowe? Czy jest to coś, o czym powinienem wiedzieć? Naprawdę, Susan Lee, jesteś jedną z najkulturalniejszych osób, jakie w życiu spotkałem.

- Skąd wiesz? - zapytała nieśmiało.

- Porównuję cię z najwspanialszą kobietą, jaką znam, z moją matką Felicją.

- Jestem podobna do ponad pięćdziesięcioletniej kobiety?

- Nie. Jesteś sobą. Jesteś wyjątkowa. Gdy porównuję cię z Felicją, widzę, że będziesz niebawem prawdziwą damą.

- I, twoim zdaniem, też przydałaby mi się odrobina dyscypliny? - zapytała ostro.

- Jeszcze nigdy nie spotkałem tak miłej i pełnej wdzięku istoty jak ty - zapewnił ją najszczerzej, jak mógł. - Musisz tylko doskonalić swoje zalety.

- Masz aż takie doświadczenie w ocenie kobiet?

- Żadnego.

- Nie byłbyś taki pewny siebie, gdybyś nie miał za sobą lat praktyki.

Tom zauważył nutę ironii w jej głosie. Jeśli nie będzie ostrożny, przegra.

- Zaraz u ciebie będę - rzucił. - Nie...

Trzask odkładanej słuchawki był odpowiedzią na jej protest.

Niemal natychmiast rozległ się dzwonek telefonu.

- Nie ma mnie! - krzyknął Tom, zbiegając po schodach. - Biegnę gasić pożar lasu - wyjaśnił mijanej Mim.

Kiedy Tom wskakiwał do auta, Mim wołała już Geo i pracowników.

Tak więc, kiedy zajechał przed dom Susan Lee, pani McCrea spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Dlaczego nie gasisz pożaru? - zapytała. - Gdzie się pali?

- Tutaj.

Pani McCrea szybko rozejrzała się dokoła.

- O czym ty mówisz, młody człowieku?

- Pani córka planuje ucieczkę.

- Z Garthem?

- Próbuje ją na to namówić.

Pani McCrea niewyraźnie usłyszała jego słowa.

- Mnie się też on wydaje nudny - powiedziała. - Ale w stosunkach męsko - damskich nigdy nic nie wiadomo. Może ma jakieś ukryte zalety.

- Skądże znowu - oburzył się Tom.

- Ale co z tym pożarem? Nie będziesz pomagał w jego gaszeniu? Petersonowie mówili, że pobiegłeś co sił w nogach. Te pożary lasów bardzo szybko się rozprzestrzeniają.

- Jaki pożar?

- Ten, który pobiegłeś gasić! - Spojrzała na niego zniecierpliwiona.

- Chcę ugasić pożar, którego Susan Lee jest przyczyną.

- A więc o to ci chodzi. Wobec tego musisz natychmiast zadzwonić i oznajmić wszystkim, że nie ma żadnego pożaru.

W głębi domu rozległ się dzwonek telefonu. - Nie tutaj - usłyszał Tom głos Susan Lee. - Nie. Właśnie wszedł na werandę. Nie. Nie będę z nim rozmawiać. Może pan to zrobić sam!

Susan Lee najwyraźniej odłożyła na bok słuchawkę, bo za chwilę zawołała do matki z udawaną obojętnością:

- Gdyby pojawił się tu ten Brown, komendant straży chciałby z nim porozmawiać.

- Chce chyba powiedzieć, że ten telefon jest do ciebie - zwróciła się do Toma pani McCrea.

- Czy ona zawsze się tak zachowuje?

- Od dnia, w którym ciebie poznała - odparła z westchnieniem pani McCrea.

Tom uśmiechnął się.

- A więc robię postępy.

- Chyba trochę przesadziłeś.

- Wcale nie. Ona mnie kocha.

- Zdaje się, że czeka cię niemiła rozmowa. Odbierz ten telefon. Ten, kto dzwoni, wrzeszczy tak, że aż tu go słyszę. Kobieta nigdy nie zachowywałaby się w taki sposób.

- Pani córka jest bardzo do pani podobna.

Pani McCrea poprawiła kok.

- Jeszcze wiele wody upłynie, zanim będzie mogła to powiedzieć.

Tom roześmiał się.

Pani McCrea obdarzyła go ironicznym uśmiechem. Potem wprowadziła do domu i wskazała telefon. Susan Lee zniknęła.

- Mówi Tom Brown - rzekł Tom, podnosząc słuchawkę.

Musiał odsunąć ją daleko od ucha, by zrozumieć wyrzaskiwane do niego słowa. W tle słychać było ryk silników i ludzkie krzyki.

- Tu komendant straży pożarnej, Clyde Burton. Gdzie, do cholery, jest ten pożar?

- Jaki pożar? - zapytał Tom.

- Co powiedziałeś?

- Jaki pożar? - krzyknął Tom.

- Pożar lasu, o którym mówiłeś Mim.

- To nieporozumienie.

- Podpalenie? Zrobiły to dzieciaki?

- Nie. To moja wina.

- Pożar jest na farmie Petersonów? Czy...

Tom nie mógł mu tego wyjaśnić, nie mieszając w to Susan Lee. Zasłonił ręką słuchawkę.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, żebym został pani zięciem, proszę wyjść na dwór i podpalić kilka krzaków - syknął do pani McCrea. - Ocali pani moją głowę.

- Przed czym? - zapytała, wchodząc do pokoju, Susan Lee.

- To nieporozumienie - zaczął Tom.

- Przeze mnie?

- Częściowo - odparł, uznając, że dziewczyna powinna wziąć na siebie część winy.

Kogoś nie z tych stron na pewno potraktują ostrzej niż miłą, miejscową panienkę.

- Ogłośmy zawieszenie broni do wyjaśnienia całej sprawy - zaproponował. - Mogą mnie nawet wsadzić do więzienia.

- Za co?

Jej pytanie wcale go nie zdziwiło.

- To twoja wina.

- Co ty pleciesz?

Była autentycznie zaciekawiona, mówiła do niego i przyglądała mu się, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

- Kiedy opowiedziałas mi o wizycie Pippera... - zaczął.

- Pippinsa.

- Gdy dowiedziałem się o wizycie Pippinsa, uznałem, że jestem w bardzo niezręcznej sytuacji. Więc...

- Wciąż mieszkasz u Petersonów? Czy oni też mają dość twoich wybryków?

- Nie, nie. Uwielbiają mnie, jak wszyscy inni.

- Czy to ty wywołałeś ten pożar?

- Jaki pożar?

- Wszystkie telefony w okolicy się rozdzwoniły, bo pobiegłeś gasić jakiś pożar.

- Ty jesteś tym pożarem.

- Bzdura.

- Wychodząc, natknąłem się na Mim. Chciała wiedzieć, czemu się tak spieszę, więc jej powiedziałem, że biegnę gasić pożar.

- My tu nie żartujemy z takich rzeczy, jak pożar lasu. Wiatry są tak silne, że pożar błyskawicznie się rozprzestrzenia. Obleją cię smołą i wytarzają w pierzu.

- Przecież niczego nie podpaliłem i nie twierdziłem, że cokolwiek się pali... oprócz ciebie. Bardzo się ciebie boję. Nie odsuwaj się ode mnie.

- Będę ci przynosiła ciasto do więzienia.

- Nie wierzysz mi?

- Gdzie jest mama?

- Poprosiłem ją, żeby podpaliła kilka krzaków i ocaliła mi życie.

- Jesteś piromanem?

- To ty jesteś gorąca jak płomień. Aż mnie parzysz!

- Jesteś zły, bo mnie nabrałeś i doprowadziłeś Gartha do szalu? - Boję się, że cię stracę.

- Chyba powinnam przestawać tylko z Teksańczykami. Przynajmniej rozumiem, o co im chodzi. Ty jesteś taki dziwny.

- Jestem po prostu wyjątkowo cierpliwy.

- To dlatego wciąż trzymasz słuchawkę i pozwalasz, żeby Clyde Burton wciąż do niej wrzeszczał?

- Weź ją ode mnie. Powiedz Burtonowi, że to ty jesteś tym pożarem.

Susan Lee namyślała się przez chwilę.

- Idź, zobacz, może mama potrzebuje pomocy. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie wzniecała pożaru.

- Jeśli nawet między nami się nie ułoży, zatrzymuję twoją matkę - ostrzegł Tom. - Ani razu nie dała mi po nosie!

- Ona lubi dziwnych ludzi - odparła Susan Lee. - Zapytaj ojca, jeśli mi nie wierzysz.

- Uspokój tylko komendanta straży pożarnej - rzekł, podając jej słuchawkę.

W tej chwili do pokoju wpadła pani McCrea - brudna, spocona, rozczochrana.

- Wezwijcie straż! - krzyknęła co sił w płucach. - Las się pali!

Tom uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Twoja mama jest nieoceniona - zwrócił się do Susan Lee.

Całą trójką rzucili się w płonące krzaki. Kiedy nadjechała straż pożarna, naprawdę potrzebowali pomocy.

- Proszę mi powiedzieć, jak to się zaczęło? - Clyde surowo spojrzał na panią McCrea. - I gdzie jest twój mąż?

- Pojechał do miasta.

- Jeszcze nigdy nie było pożaru na jego terenie. Będzie się zastanawiał, jak to się zaczęło.

- Samozapalenie.

- Pośrodku pola?

Clyde odrzucił zdecydowanie teorię samozapalenia krzaków rosnących na wilgotnej trawie.

- Nie widziałam, jak to się zaczęło. Zobaczyłam tylko dym.

- No, cóż, mnie się to wszystko wydaje bardzo podejrzane. Czy twoja córka nie starała się zwrócić na siebie czyjejs uwagi?

- Wzniesając pożar na własnym polu?

- A dlaczego Tom Brown zjawiał się tutaj, zanim się zaczęło palić?

- Może Susan Lee, rozmawiając z nim przez telefon, zobaczyła dym?

Clyde nie był pewien, czy było to pytanie, czy zdanie twierdzące. Spojrzał z ukosa na żonę swego najlepszego przyjaciela.

- Kiedy Brice wróci do domu, będzie się domagał wyjaśnień.

Pani McCrea zrobiła krok do tyłu i usmolonymi rękami podparła się pod boki.

- Myślisz, że ktoś podłożył ogień? - zapytała z oburzeniem. - Kto mógłby zrobić coś tak pozbawionego sensu?

- Sam się zastanawiam.

- Zrobiło się późno - zauważyła pani McCrea. - Może napilibyście się zimnego piwa?

To udobruchało Clyde'a, który nie zadawał już żadnych pytań.

- Jestem pani dłużnikiem - szepnął prawie bezgłośnie usmolony i potargany Tom.

Pani McCrea uśmiechnęła się promiennie. - To prawda.

- Chętnie pozbyłaby się pani tego kłopotu, co? - domyślił się Tom.

- Powiedzmy, że będę po twojej stronie.

- Jak już opowiedziałem, jeśli między pani córką a mną do niczego nie dojdzie, pozostanie pani moim przyjacielem.

Pani McCrea spojrzała na tłące się pole.

- Już wygrałeś, choć będziesz musiał się jeszcze trochę pomęczyć - powiedziała.

- Susan Lee udaje trudną do zdobycia? - spytał z niedowierzaniem Tom.

- Myślałam, że jesteś bystrzejszy - skomentowała jego pytanie przyszła teściowa.

- Jestem bystry - zaprotestował urażony Tom. - Tyle tylko, że jeszcze nigdy tak bardzo nie pragnąłem żadnej kobiety. I nie miałem wobec żadnej tak poważnych zamiarów

- Nie zapomnij tego dnia, pożaru i tego, jak do niego doszło. Jeśli chcesz, żebym milczała, będziesz mi musiał świadczyć różne przysługi.

- Jak ma pani na imię? - zapytał podejrzliwie Tom. - Założę się, że brzmi okropnie i że będzie pani chciała, żeby nazwać pani imieniem nasze dziecko. Proszę mi powiedzieć. Proszę poczekać, aż usiądę, ale niech mi pani powie.

- Janella - odparła z uśmiechem.
- No cóż, mogło być gorzej. Zastanowimy się.
- Nie to miałam na myśli. Boże Narodzenie będziecie spędzać tutaj, każdego roku.
- Co drugi rok - zaczął się targować Tom. - Nawet nie ma pani pojęcia, jakie wspaniałe są święta w Ohio.
- Na pewno mroźne.
- Dom jest duży, więc można w ogóle nie wychodzić na dwór - uspokoił ją, - Ale może spodoba się pani zjeżdżanie na sankach z górki za domem.
- Kiedyś w Szwajcarii bardzo mi się to podobało - rozmarzyła się Janella.

Susan Lee podeszła do nich z tacą pełną szklanek z lemoniadą.

- O czym rozmawiacie?
- O Bożym Narodzeniu.
- Nie wierzę.
- Ależ z ciebie niedowiarek - skomentował Tom.
- O czym rozmawialiście? - powtórzyła.
- O narowistych koniach.
- Twój koń nie jest narowisty - odparła Susan Lee.
- W Ohio mamy takiego kuca.
- Mnie by się udało go dosiąść.
- Możemy się założyć.

Ogień powoli dogasał. Ci, którzy zajmowali się jego gaszeniem, rozsiedli się na werandzie przy zimnym piwie i jedzeniu przyniesionym przez żony.

- Tak się nudziłam - zauważyła jedna z kobiet.
- Czy specjalnie podpaliłaś te krzaki, żebyśmy mogli sobie urządzić ten piknik?
- Czy wiedząc, że wszyscy tu przyjdziecie, ubrałabym się w takie łachmany? - odparła Janella.
- Masz rację.

- Ale mieliśmy niezłą zabawę, prawda? - zaśmiała się Janella.

- Podłożyłaś ten ogień, czy nie?

- Oczywiście, że nie. Nie jestem szalona.

Tom przyłapał Susan Lee w ciemnej sionce i zażądał pocałunku w podziękę za gaszenie pożaru. Opierała się i odwracała głowę, ale nie uciekła.

- Czy podłożyłaś ten ogień, żeby mnie tu zwabić?

- Nie bądź idiotą. Dlaczego uważasz, że chciałam, żebyś tu przyszedł?

- Bo nie możesz beze mnie wytrzymać.

Podał ten powód, bo odzwierciedlał jego własne uczucia.

- Muszę umyć włosy - powiedziała.

- Dlaczego?

- Bo przesiąknęły dymem pożaru - odparła zniecierpliwiona.

- Ja też płonę - szepnął. - Pragnę cię.

- To pożądanie.

- Zauważyłem - rzekł, przyciskając ją do ściany.

- Nie powinieneś mówić takich rzeczy.

- Nie?

- Nie.

Nadal rozglądała się dokoła, ale nie próbowała się wyswobodzić i mówiła szeptem, żeby nie zwrócić niczyjej uwagi.

- A co mam mówić?

- Że... że jestem ładna.

- Nie jesteś ładna, tylko prześliczna. Kiedy na ciebie patrzę, serce mi bije jak młotem. Dotknij.

Położyła mu rękę na piersi.

- Masz zdrowe, silne serce.

- Nie, moje serce jest w twojej niewoli. Zabrałaś mi je wczoraj wieczorem w samochodzie.

- Cóż za pomysł!
- Nie kłamie. To właśnie się stało. Ukradłaś je. Mogłabyś pocieszyć mnie pocałunkiem.
- Nie umiem całować.
- Wczoraj mnie pocałowałaś i ukradłaś moje serce.
- Nic takiego nie zrobiłam.
- Przestałem zwracać uwagę na inne kobiety. Istniejesz dla mnie tylko ty.

Objął ją w talii, przyciągnął blisko do siebie i pocałował.

Czuła jego twardą męskość napierającą na jej brzuch. Był bardzo podniecony. Nigdy jeszcze żaden mężczyzna tak się wobec niej nie zachował. Odwzajemniła jednak jego pocałunek i oblała się rumieńcem.

- I co z nami będzie? - zapytał.
- Prawie cię nie znam.
- Z każdą chwilą lepiej mnie poznajesz. Zdajesz sobie z tego sprawę?
- Nie jestem jeszcze na to gotowa. Musimy się opanować.
- Chyba umrę - jęknął, a ona wybuchnęła śmiechem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wybuchem śmiechu skomentowała jego zapewnienie, że umrze z powodu seksualnego pożądania.

- Susan Lee! - rozległ się głos pani McCrea. - Mogłabyś mi pomóc pozbierać naczynia?

- Puść mnie - szepnęła Susan Lee do Toma.

- Po prostu nie odpowiadaj.

- Mama wie, że jestem tu z tobą, i daje nam znać, że nasza rozmowa trwa już nieco za długo.

- Skąd wie, gdzie jesteście?

- Matki zawsze pilnują swoich córek.

- Felicja też tak robiła - przypomniał sobie Tom. - Pamiętam, że kiedy któraś z sióstr wybierała się na spacerze swoim chłopakiem, mama kazała mi co chwila szukać ich i proponować napicie się lemoniady czy coś w tym rodzaju. Czy o to właśnie jej chodziło?

- Wszystkie matki tak robią. Chodźmy.

- Ty też taka będziesz dla swoich córek?

- To bardziej niż prawdopodobne. Puść mnie.

- Właśnie przyznałaś, iż jesteś mną oczarowana i że będziemy się kochać, żeby mieć córki. Poćwiczmy trochę.

- Nic takiego nie powiedziałam! Odsuń się, bo będzie ci głupio, kiedy zjawi się tu tata.

Tom niechętnie wypuścił ją z objęć. Stał wyprostowany i wsunął ręce w kieszenie. Susan Lee poprawiła włosy i ubranie.

- Hej, Susan Lee? - rozległ się głos jej ojca. - Czy ty i Tom macie ochotę na lemoniadę?

- Widzisz? - szepnęła. - Wszyscy rodzice są tacy sami. Dzięki, tato, ale nie w tej chwili! - zawołała.

- Jestem spragniony - szepnął ochryple Tom. Susan Lee odwróciła się i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Tom ją powstrzymał.

- Marzę o kilku naprawdę soczystych pocałunkach.

- Na co pan sobie pozwala, panie Brown! - zawołała z udawanym oburzeniem. - Muszę iść pomóc mamie, żeby zobaczyła, iż nic mi się nie stało - dodała.

- Wyjdę drugimi drzwiami - rzekł z rozbawieniem Tom.

- Chcesz, żebym przyniosła ci trochę lemoniady?

- Miałem zamiar poprosić o drugie piwo, żebyś mogła zobaczyć oblicze prawdziwego Toma Browna.

- Nie, lepiej nie. My tutaj nie jesteśmy tacy tolerancyjni. Tom wybuchnął śmiechem.

- Nie rozumiem, czemu się tak śmiejesz. Gdzieś ty się obracał?

- Mieszkam tu od ośmiu lat, kochanie. A jak wszyscy tu mówicie, nikt nie nabierze Teksańczyka.

- Przyniosę ci lemoniadę. Może to uspokoi mamę.

Tom patrzył, jak Susan Lee przechodzi przez salon i znika za drzwiami jadalni. Była naprawdę wyjątkowa.

Zwlekał jeszcze chwilę, a potem wyszedł na dwór i dołączył do grupy odpoczywających strażaków. Wszyscy, oczywiście, wiedzieli, że poprzedniego wieczora zabrał Susan Lee na tańce do remizy. Albo sami byli na tej zabawie, albo ktoś im o tym powiedział. Susan Lee była z Tomem Brownem, a nie z Garthem Pippinsem.

Spędziwszy całe przedpołudnie na zdobywaniu względów przyszłej teściowej i gaszeniu pożaru, Tom był tak usmolony i zmęczony, że wyglądał jak prawdziwy bohater. Kobiety z uśmiechem zaproponowały mu zimne piwo.

W tej samej chwili Susan Lee przyniosła mu lemoniadę.

- Chyba już jedno wypileś? - powiedziała, pamiętając, co mówił o swym zachowaniu po drugim piwie.

- Boisz się? - zapytał, mrużąc oczy.

- Są wśród nas starsze panie. Nie są przyzwyczajone do pewnych zachowań.

- Najdroższa, mieszkam tu od dawna. A pięć minut wystarczy, żeby stać się Teksanczykiem. Zachowuję się tak jak wszyscy tutejsi.

- Ja jestem Teksanką w szóstym pokoleniu.

- Cieszę się - rzekł obojętnym tonem. - Nasze dzieci będą więc mieszańcami.

- A kto mówi, że będziemy mieli dzieci? Za dużo sobie wyobrażasz.

- Twoje pocałunki mnie o tym upewniły - szepnął jej do ucha.

Susan Lee oblała się rumieńcem i spuściła oczy. Tom był zachwycony tym widokiem.

- Coś ty jej powiedział, stary, że się tak spłonęła? - spytał jakiś starszy mężczyzna.

- Powiedziałem, że jest ładna - odparł gładko Tom.

- Wie o tym, od kiedy skończyła dwa lata i ojciec jej nie utopił.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Myślisz o niej poważnie? - zapytał ktoś inny. Tom przez chwilę w milczeniu przyglądał się zarumienionej Susan Lee.

- Muszę najpierw sprawdzić, czy potrafi orać i podkuwać konie - odparł w zamyśleniu.

- To jeszcze niczego nie dowodzi!

- I prowadzić wielotonową ciężarówkę - dodał Tom, jakby zaplanował to sobie od początku.

Dalsze przekomarzenia przerwał przyjazd Gartha Pippinsa. Wszyscy w pełnym oczekiwania milczeniu przyglądali się, jak parkuje swoje auto pomiędzy stojącymi przed domem samochodami.

Oto zjawia się mężczyzna poprzedniego dnia porzucony przez dziewczynę. A tymczasem inny mężczyzna na oczach wszystkich zaleca się... do tej właśnie dziewczyny. Wszyscy

zastanawiali się, co się stanie i czyją wziąć stronę, gdyby doszło do bójki.

Ten Garth potrafi być gwałtowny.

Tom zastanawiał się, czy Garth naprawdę zostawi swe auto - bez nadzoru - na parkingu.

W tej samej chwili wszyscy zebrani przed domem uświadomili sobie, że Susan Lee zniknęła. Czy zrobiła to umyślnie?

Jedna z młodych kobiet, Melody Commins, wstała i ruszyła ku Garthowi. Kilku mężczyzn podążyło za nią. Czy dlatego, że przyjaźniac się z Garthem, chcieli dodać mu otuchy? A może chcieli po prostu być w pobliżu, gdyby coś zaczęło się dziać?

Ciekawe, czy Garth mnie uderzy? pomyślał Tom. Rozejrzał się uważnie dokoła. Wiedząc, że ludzie odsuną się do tyłu, zobaczył, że przed domem nie ma niczego, co utrudniłoby bójkę. Żadnych stołów ani krzeseł. Tom już wcześniej uznał, że Susan Lee nie jest zakochana w Garcie, choć nawet gdyby była, nie zrezygnowałby ze współzawodnictwa.

By nabrać odwagi, przypomniał sobie pocałunki, na które mu pozwoliła, to, jak osłaniała go przed w zasadzie niemożliwym atakiem pумы, i jej mimowolne przyznanie, że ich córki będą pod takim samym nadzorem jak ona.

Pierwszym, który powitał Gartha, był ojciec Susan Lee. Powiedział coś, co go zaskoczyło. Nastąpiła szybka wymiana zdań i Brice nawet machnął ręką, jakby kazał Garthowi się wynosić. Garth najwyraźniej starał się go uspokoić.

Tom domyślił się, że Garth się wycofuje. Brice pewnie powiedział mu, że nie życzy sobie żadnych bójek na swoim terenie.

Garth najwyraźniej go posłuchał.

Tom poczuł się trochę rozczarowany. Gdyby doszło do bójki, ludzie byliby po jego stronie. A jeśli nie?

Nagle zauważył wstającego Geo. Nawet nie wiedział, że on też tu jest. Susan Lee zbyt go absorbowała.

Kiedy zobaczył, że Garth jest zupełnie opanowany, trochę się uspokoił. Nie przyjechał gasić ognia, który podłożyła Janella McCrea. Wszyscy pomagali gasić, tylko nie Garth. Pewnie chcieliby wiedzieć, dlaczego go z nimi nie było.

Garth Pippins i Brice McCrea powoli zbliżali się do niecierpliwie oczekującej ich grupy. Kurtyna za chwilę pójdzie w górę. Felicja byłaby zachwycona tą sceną.

Geo zbliżył się do Toma, który bardzo się tym wzruszył - Geo bierze stronę obcego w konflikcie z rodowitym Teksaszczykiem.

Melody podeszła do Gartha i podała mu piwo. Spojrzał na nią krótko, ale całą swoją uwagę koncentrował na panu McCrea, ojcu swej ukochanej.

Nadjechało kolejne auto i zaparkowało obok pozostałych.

- Rodzice Gartha - poinformował Toma Geo. - I jego brat - dodał po chwili.

- To może być interesujące - skomentował któryś z mężczyzn.

Wszyscy zebrani zarzucili Pippinsów pytaniami.

- Gdzieście się podziewali? Musieliśmy pracować i za was.

- Taki mały pożar i nie mogliście sami dać sobie z nim rady? - zdziwił się ojciec Gartha.

- Poradziliśmy sobie - odparł ktoś przytomnie.

- Jak to się zaczęło? - zapytał pan Pippins.

- Nikt nie wie - odrzekł Brice.

- Miałam tylko herbatniki, więc czekałam, aż wrócą Billy i Garth - wtrąciła pani Pippins. - Próbowałam upiec ciasto.

- A wy gdzie byliście, Garth?

- Znacie tę dolinę za miastem? - odpowiedział pytaniem Billy Pippins. - Kręci się tam całe stado dzików. Trzeba będzie urządzić polowanie.

Garth spojrział z pogardą na Toma.

- Polowałeś kiedyś na dziki? - zapytał.

- Noszę tylko strzelbę i wyję do księżycy, ale nie poluję.

- Tak podejrzewałem.

- Co zrobiliście, kiedy znaleźliście te dziki? - zapytał Geo spokojnie, ale z błyskiem w oczach.

- Biegiem wróciliśmy do auta - odparł brat Gartha, Billy.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Wszyscy oprócz Gartha, który oblał się rumieńcem.

- Widok dzików sprawia, że stajesz się świetnym biegaczem; co? - zauważył ktoś z zebranych.

- Zatrzymać odyńca, to dopiero sztuka.

- Chcesz spróbować? - zwrócił się Garth do Toma.

Tom roześmiał się.

- Mnie wystarczy zupełnie dziki pies.

Garth prychnął z pogardą.

- Mówisz o takim wielkim, żółtym psie? - zapytał Billy.

- Tak, widziałeś go?

- Raz czy dwa próbowaliśmy zastawić na niego pułapkę.

Garth bardzo chciał go złapać. Jest jednak najwyraźniej sprytniejszy od nas.

Po tych słowach Tom doszedł do wniosku, że Pippinsowie to całkiem normalni ludzie. Jedynie Garth to dureń.

- Gdzie go widziałeś? - spytał Billy.

Tom postanowił nie odpowiadać. Nie chciał, by ktokolwiek, nawet on sam, złapał psa w pułapkę. Pragnął, by pies przyszedł do niego z własnej woli.

- Trudno mi określić. Niezbyt dobrze znam te okolice. Robiłem zdjęcia w jakimś wąwozie, a on mi się przyglądał.

- Zdjęcia? - zdziwił się Garth.

- Jestem fotografem.

- Musisz koniecznie zobaczyć zdjęcie, jakie zrobił Tancerzowi - wtrącił się Geo.

Tancerz był ulubionym koniem Petersona. Był tak niezależny, że przed każdą jazdą trzeba go było do niej długo namawiać. Niechęć Mim do tego zwierzęcia była zrozumiała. Zależało jej na zdrowiu i bezpieczeństwie Geo.

Wszyscy w okolicy znali Tancerza, bo nigdy nie pozwolił, by jakikolwiek koń go wyprzedził. Uwielbiał rywalizację.

- A co by Tancerz zrobił, gdyby gonił cię dzik? - zapytał Garth.

- Robi to, co mu każę - odparł spokojnie Geo.

- A kto tego nie robi? - wtrąciła się Mim. Osłonięta pieluszką, karmiła Tommy'ego.

- Czy ty się kiedykolwiek mną przejmowałaś? - spytał, mrużąc znacząco oczy, Geo.

Zebrani wybuchnęli śmiechem, a Mim odchyliła głowę do tyłu i spojrzała w niebo.

- Jak sobie przypomnę, dam ci znać - powiedziała. - Pamiętam, że na pewno raz mi się to zdarzyło.

- Będziesz mnie musiał nauczyć, jak radzić sobie z kobietami - wtrącił się Tom.

- Kto tu kogo miałby uczyć? - szepnął Geo tylko do niego.

- O czym ty mówisz?

- Znamy się już dość długo i wiem, co o tobie myśleć. Mama wpoila ci dobre maniery, więc twój prawdziwy charakter nie zawsze się ujawnia. Założę się, że twój ojciec jest bardzo surowy.

- Służył w marynarce - odparł Tom.

- To wiele wyjaśnia.

- Myślisz, że jestem spryciarzem? Cwaniaczkiem? Przebiegłym Teksaszczykiem z Tempie w Ohio?

- Twój ojciec nauczył cię radzić sobie w najtrudniejszych sytuacjach. A kiedy nie chciałeś dodać temu psu jakiegoś środka usypiającego do jedzenia, było to bardzo znaczące.

- Wystawiłeś mnie na próbę.

- Tak.

Tom złożył ręce na piersi i z lekkim uśmiechem kiwnął głową.

- A ty kiedy przekonałeś się do mnie? - spytał Geo.

- Kiedy zdenerwowałeś się, bo zrobiłem ci zdjęcie, ale jakoś się z tym pogodziłeś i nie wyrzuciłeś mnie.

- Tak.

- A co Salty myśli o twoim fotografowaniu?

- Jest aktorem.

Geo wybuchnął śmiechem. Wokół nich zgromadziło się już kilkoro słuchaczy. Geo zawsze miał słuchaczy.

- Kto jest aktorem? - zapytał jeden z nich.

- Mój ojciec - wyjaśnił cierpliwie Tom. - Uwielbia, kiedy robi mu się zdjęcia. Najczęściej pozuje z którymś z najmłodszych dzieci. Mówi, że to go odmładza.

- A czym się zajmuje?

Tom wzruszył ramionami. Nie miał ochoty mówić, że Salty handluje używanymi samochodami.

- Był w marynarce, ale przeszedł już na emeryturę. Gotuje i pozwala matce myśleć, że to ona rządzi.

- To zupełnie jak Geo - zauważyła Mim. - Niech Salty lepiej tu nie przyjeżdża! Ledwo daję sobie radę z mężem.

Tom wybuchnął śmiechem, ale Geo był wyraźnie urażony.

- Jeszcze trochę, a będę się musiał ciebie pytać, czy mogę wstać od stołu - rzekł z przekąsem.

- Wiesz, to bardzo dobry pomysł. - Mim uniosła niemowlę. - Od dziś masz tak robić.

- Tak jest - rzekł potulnie Geo. Towarzyszyło mu głośne beknięcie Tommy'ego. Gdyby znajdowali się w środku, wybuch ich śmiechu spowodowałby zawalenie się dachu.

Na werandzie zjawiała się Susan Lee i Garth natychmiast ruszył w jej stronę. Tom na wszelki wypadek pozostał na swoim miejscu. Chwilami nawet zmuszał się do odwrócenia wzroku.

- Ona wcale nie chce z nim być - rzekł Geo.

- Skąd wiesz?

- Nie chce z nim rozmawiać, a on ją o to błaga.

- Dziś rano odłożyła słuchawkę, kiedy powiedział jej, że nie jest damą.

- Przepadł z kretesem.

Tom uśmiechnął się.

- Jutro robię objazd gospodarstwa. Muszę sprawdzić, czy płoty są całe. Może pojedziesz ze mną?

Pojechać na cały dzień? Na samą myśl Tom spojrzał z wahaniem na werandę, na której jego ukochana rozmawiała z Pippinsem.

- Daj jej trochę czasu do namysłu - rzekł Geo.

- Zostaw ją w spokoju na dzień czy dwa, niech za tobą zatęskni.

- Jeśli potem będzie mnie unikać, utnę ci ucho.

- Jestem bardzo przywiązany do moich uszu i będę stawiał opór.

- To na nic się nie zda.

Geo uśmiechnął się.

- Czy będziesz miała coś przeciwko temu, że obetnę Geo jedno ucho? - zwrócił się Tom do Mim.

Czy powiedziała: nie? Skądże. Zapytała: „dlaczego?”

- Po prostu chciałem wiedzieć, jak zareagujesz.

- Chyba poderznięłabym ci gardło, gdybyś to zrobił - odparła po chwili zastanowienia.

- Oto jasna odpowiedź.
- Czemu miałbyś mu obciąć ucho?
 - Radzi mi, bym na cały dzień pozbawił Susan Lee mojego towarzystwa, żeby mogła za mną zatęsknić. Nie jestem pewny, czy to rozsądne. Dałoby to Garthowi mnóstwo czasu na przekonanie jej, że to na nim jej zależy. Zna go lepiej niż mnie.
 - Zna go właściwie od dziecka - zauważyła logicznie Mim. - Jeśli jednak tak niewiele było trzeba, by ją zniechęcić do niego, a zainteresować tobą, to może Geo ma rację.
 - To zbyt ryzykowne. - Tom z powątpiewaniem pokręcił głową.
 - Geo jest mądry - powiedziała z przekonaniem Mim. - Zrób, co ci radzi.
- Tak więc, by mieć pewność, że Susan Lee go nie zapomni, Tom wszedł na werandę i przerwał jej rozmowę z Garthem.
 - Musimy się spieszyć. Przepraszam cię, Garth, ale jesteśmy umówieni na spotkanie.
- Susan Lee spojrzała na Toma z ukosa. Przez chwilę bała się, że da mu kosza.
 - Nie musisz się przebierać. Jemu będzie wszystko jedno - powiedział.
 - Jemu? - spytał Garth.
 - Staremu przyjacielowi, którego obiecałem odwiedzić - wyjaśnił Tom. - Susan Lee już go zna.
 - Kto to jest? - dopytywał się Garth. Susan Lee włączyła się do gry.
 - Pewien blondyn, który mieszka za wzgórzem - odparła swobodnie.
 - Za którym wzgórzem? Kto to jest? Znam wszystkich w okolicy. Do kogo jedziecie?
 - Dlaczego pytasz? - odparł Tom.
 - Mógłbym pojechać z wami.

- Nie jesteś zaproszony.

Zaskoczony Garth nie wiedział, co odpowiedzieć. Był wściekły, ale nic nie mógł na to poradzić.

- Zostań - zwrócił się więc do Susan Lee.

- A dlaczego? - spytała gniewnie.

- Masz gości - zauważył Garth. - Dama powinna przebywać ze swymi gośćmi.

- Powiedziano mi niedawno, dokładnie dziś rano, że nie jestem damą.

I to był celny strzał.

- A kto odważył się coś takiego ci powiedzieć? - spytał, oczywiście, Tom. - Pewien kretyn.

- Co do tego nie mam wątpliwości.

- Ależ, Susan Lee! - zirytował się Garth.

- Zaraz będę gotowa - przerwała mu, zwracając się do Toma. - Powiem tylko mamie, że jadę z tobą.

Tom uśmiechnął się.

- Przydałaby ci się lekcja dobrego wychowania - zauważył Garth, kiedy zostali sami.

- Tak? - Tom ze zdziwienia unióśł brwi. - A kto mi ją da?

- Ja.

Tom był na tyle niegrzeczny, że pozwolił sobie na wybuch śmiechu. Śmiał się tak szczerze, że aż musiał się przytrzymać, i położył rękę na ramieniu Gartha. Ten natychmiast ją zrzucił.

- Co cię tak rozśmieszyło? - zapytał Brice McCrea, wchodząc na werandę.

W oczach Toma nie było ani śladu rozbawienia.

- On chce mnie nauczyć dobrych manier.

- Cóż za głupota - skomentował Brice, spoglądając na Gartha.

- Ależ panie McCrea - zaprotestował Garth.

- Spływaj - rzekł McCrea, a potem zwrócił się do Toma: - Wejdz do środka, pokażę ci, co dzisiaj kupiłem.

- Wcale nie zamierzałem go uderzyć - rzekł Tom, kiedy byli już w domu.

- Bałem się, że to on zechce cię uderzyć i nie będziesz miał wyboru.

- Nie musiałbym mu oddawać.

- To taki z ciebie mężczyzna? - Brice spojrział na niego badawczo.

- Mam wyjątkowego ojca.

- Chętnie bym go poznał.

- Zdaje się, że jest teraz u Sama Fullera, niedaleko stąd.

Brice skinął głową, przyjmując do wiadomości informację Toma.

- Jeśli nie masz poważnych zamiarów, to lepiej zostaw moją córkę w spokoju - rzekł z naciskiem. - Nie pozwolę zrobić jej krzywdy.

- Obiecuję.

- Kto to jest ten blondyn, którego macie odwiedzić?

- Zabłąkany pies, który boi się ludzi. Nie daje mi do siebie podejść. Karmię go i przynoszę mu wodę. Widziałem tam też ślady pumy.

- Opiekuj się Susan Lee.

- Nie wysiądzie z auta i dam jej strzelbę.

- Możesz jej zaufać. Umie się obchodzić z bronią. - Przez chwilę przyglądał się Tomowi w milczeniu. Potem zmrużył oczy i rzekł: - Ty też uważaj.

Tom zrozumiał znaczenie tej rady.

- Będę ostrożny - odparł.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ponieważ Tom nie tak dawno uzupełnił psu zapas wody i pożywienia, nie było w zasadzie powodu, by znowu jechać tam, gdzie się zwierzę ukrywa. Zależało mu tylko na tym, by oderwać Susan Lee od Gartha.

Jechali w milczeniu. Susan Lee otworzyła okno. Wiatr rozwiewał jej włosy i sprawiał, że ubranie przylegało do ciała. Tom patrzył na to, czując suchość w gardle.

Często na nią spoglądał. Prawie tak często, jak na drogę. Była zagrożeniem dla bezpieczeństwa. Jego własnego, nie auta.

Czy to miłość? Czy tylko pożądanie? Tylko? Takie pospolite słowo dla określenia czegoś tak wyjątkowego?

Spojrzał z ukosa na milczącą dziewczynę, która nie robiła niczego, czym mogłaby zwrócić jego uwagę, a mimo to przykuwała jego wzrok. Była tak pełna życia i tak kobieca, a on wyjątkowo świadomy tego faktu.

Czy kiedykolwiek tak bardzo zależało mu na jakiejś kobiecie? Bywał zainteresowany, owszem, ale aż tak? Susan Lee należy do niego. Musi być jego. Tylko czy ona o tym wie?

Zostawiła rodzinę i zgodziła się z nim pojechać bez protestu. Może była tylko zła na Gartha i chciała go ukarać?

Spojrzał na nią znowu. Była taka odprężona. - O czym myślisz? - zapytał. - Mama wywołała pożar, żeby cię kryć. Co jej obiecałeś?

Tom uśmiechnął się tajemniczo.

- Na pewno nie to, że pozwolę jej wychowywać naszego pierworodnego syna - uspokoił ją.

- O czym ty mówisz?!

- No, cóż, bardzo nalegała. Chciała, żebyśmy spędzali tu każde Boże Narodzenie, a ja wytargowałem co drugie.

- Jak mogłeś zobowiązać się do czegoś takiego?

- W ogóle nie chcesz przyjeżdżać do domu na Boże Narodzenie? - zdziwił się Tom.

Susan Lee zaczęła tracić cierpliwość.

- Kto, do diabła, powiedział, że mam zamiar dokądkolwiek z tobą wyjechać?

- A gdzie jest ten diabeł?

- Przestań się wygłupiać. Zawsze starasz się skierować rozmowę na inne tory.

- Naprawdę?

- Twój mózg pracuje na zbyt wielu poziomach naraz. Trudno z tobą dyskutować, bo jesteś roztargniony, a co gorsza, rozpraszasz też mnie!

- Postaram się poprawić.

- Nigdy się nie zmienisz. Mówisz tak, żeby mnie zdezorientować.

- Jesteś zdezorientowana?

- Widzisz? Oto cały ty. Poruszasz zupełnie nowy temat i jesteś tym zachwycony. Nie chcesz odpowiedzieć, dlaczego w moim imieniu podjąłeś decyzję odwiedzania twojej rodziny w środku zimy i na dodatek co drugi rok.

- Możemy jeszcze pertraktować.

- Nie pytałeś, czy chcę być z tobą przez całe życie. Tom oblizwał wargi i przechylił głowę, by pod innym kątem spojrzeć na bezludną okolicę.

- A nie chcesz? - zapytał.

Kątem oka zauważył, że Susan Lee go obserwuje. Przez chwile zastanawiał się nad doborem słów.

- Tworzyliśmy razem udaną, aktywną i sympatyczną parę. Jednak muszę wykorzenić z ciebie zwyczaj pogardliwego prychnania przy byle okazji. Nauczyłaś się tego od Gartha.

- Wcale nie prychnam.

- W czasie tej rozmowy zrobiłaś to aż trzy razy! Susan Lee prychnęła.

- O! Widzisz?
 - Chciałam ci tylko udowodnić, że robię to celowo i że mogę nad tym panować.
 - Masz kilka wad. Wielki Boże! Kto by przypuszczał, że ktoś, kto wygląda tak jak ty, może parskać jak koń? Naśladujesz Gartha. On tak prychnął.
 - Wcale nie staram się być do niego podobna. Była oburzona.
 - Wyglądasz rzeczywiście inaczej, to muszę ci przyznać.
 - On jest mężczyzną.
- Patrząc znów przed siebie, Tom kilka razy pokiwał głową.
- Zauważyłem, że jesteś kobietą.
 - Może on dlatego tak reaguje, bo uważa, że się mną bawisz.
 - Próbuję.
 - Jak możesz tak mówić do kobiety, która nie ma doświadczenia w postępowaniu z mężczyznami?
 - Próbuję ją czegoś nauczyć.
 - Chciałbyś!
 - Dama nie powinna zwracać się do mężczyzny takim tonem.
 - Dziś rano Garth powiedział mi, że wcale nie jestem damą.
- Tom pokręcił głową.
- Nie potrafię znaleźć nic na obronę mężczyzny tak głupiego.
 - A więc porozmawiajmy na ten temat. Zazwyczaj bronisz mężczyzn, tak?
 - Oczywiście.
 - Dlaczego?
 - Bo mężczyźni są jak byki. Spotykamy się z taką samą ilością szyderstw i krytyki jak one.
- Susan Lee parsknęła śmiechem.

- A ty, będąc z tych stron, powinnaś wiedzieć, że byki hoduje się nie tylko dla ich skóry. To samo jest z mężczyznami.

- A jakie części twojego ciała... Nie, chyba nie powinnam pytać.

- Nie krępuj się - zachęcał ją. - Jak się chce czegoś dowiedzieć, trzeba pytać.

- Poddaję się.

Tom odchylił głowę i spod runda kapelusza obserwował drogę.

- Dobrze, skończmy ten temat. Umiesz grać w karty?

- Słabo. A ty?

- Znakomicie. Wychowankowie Felicji muszą grać znakomicie. Taka jest zasada.

- Tak bardzo to lubi?

- Przy brzydkiej pogodzie jest się czym zająć.

- O, tak. Masz rację. Zapomniałam, Tam u was rzeczywiście często bywa paskudna pogoda.

- Jest dużo ciekawiej niż tu. Życie jest ciekawsze, jeśli można martwić się o pogodę. A tutaj co? Kolejny ładny dzień. To nudne i nużące.

- Ale kiedy już pada, to mamy tu biblijny potop - zaoponowała. - A w 1992? Mielście deszczu aż nadto.

- Nasze zbiorniki do dziś są pełne - przyznała. Tom kątem oka spojrzął na Susan Lee.

- Czy dziś zamierzasz skapitulować?

- Słyszałam, że obiecałeś tacie, iż będziesz się przyzwoicie zachowywał.

- Ależ ty masz długie uszy!

- Czasami bardzo się przydają.

- A jeśli się okaże, że nie umiem się przyzwoicie zachowywać, to się poddasz?

- Jeszcze nie.

Noga zsunęła mu się z pedału gazu, kiedy zgiął się wpół, jakby zainkasował potężny cios w żołądek.

- Co się stało? - przestraszyła się Susan Lee. - Co cię uderzyło?

- Ty - jęknął zduszonym głosem. - Tym "Jeszcze nie" ugodziłaś mnie prosto w serce. Nie powinnaś tego robić mężczyźnie, który prowadzi auto tak niebezpieczną drogą, jak ta.

- To jest zupełnie bezpieczna droga. - Wskazała ręką szerokość szosy.

- Będę musiał zabrać cię do Ohio, żebyś mogła porównać drogi w obu stanach.

- Nie mamy tu takiej pogody, jak w Ohio. Nie potrzebujemy wielopasmowych dróg, jak wy na północy.

- Zmieniasz temat - zauważył.

- A o czym to mówiliśmy?

- Że mi się poddasz, ale jeszcze „nie teraz”. Kiedy?

- Zobaczę.

- Zobaczysz. - Tom powtórzył z niechęcią to słowo. - Zobaczysz... co?

- Czy zechcę.

- Najdroższa - westchnął i z powrotem położył stopę na pedale gazu. - Przymilanie się do ciebie, to jak przymilanie się do tego cholernego psa. Oboje wiecie, że będziecie się musieli poddać. To może zróbcie to od razu. Oszczędzicie mi mnóstwo czasu, nie mówiąc już o nerwach.

- Porównujesz mnie do psa? - warknęła. Była oburzona. - A może raczej do suki?

Złość w jej głosie była aż nadto wyraźna. Tom roześmiał się.

Susan Lee prychnęła.

Tom odwrócił głowę i wyjrzał przez boczną szybę, by ukryć rozbawienie. Długo się zastanawiał, co powiedzieć, żeby ją udobruchać.

- Nie, jestem po prostu tak tobą oczarowany, że trudno mi uwierzyć, że mogę ci być obojętny. Wiesz, że mówię poważnie. To nie jest tylko sprawa pożądania. Uwielbiam cię, chociaż drażni mnie twoje prychanie. To denerwujące, ale z jedną wadą jakoś sobie poradzę.

- Mam wady?

- Co działo się nad stawem, że tak się przeraziłaś, kiedy dowiedziałaś się, że ktoś mógł robić tam zdjęcia?

Susan Lee zacisnęła usta.

- To nie twoja sprawa.

- Nawet nie wiesz, jak mnie to zaciekawilo. Co tam się takiego straszego stało?

- Nic.

- Już sam sposób, w jaki wymówiłaś to słowo, świadczy, że masz nieczyste sumienie. Paradowałaś bez ubrania? Kąpałaś się nago?

Susan Lee drgnęła.

- Kto...

- Aaaa! Kto jeszcze tam był?

- Nikt.

Susan Lee siedziała sztywno wyprostowana i tępo patrzyła przed siebie. Tom westchnął głęboko,

- Cieszę się, że ja jestem czysty i nic nie obciąża mego sumienia.

- Ja też nie mam nic na sumieniu! - syknęła przez zaciśnięte zęby Susan Lee,

- Cieszę się, że w to wierzysz. Może i zgrzeszyłaś, ale uważasz to za rzecz normalną.

- Tom! - rzuciła ostrzegawczo.

A on znowu się roześmiał.

- Wolałabym, żebyś odwiózł mnie do domu.

- Dobrze. Muszę tylko uzupełnić psu zapas wody. I jeśli nie masz nic przeciw temu, chciałbym, żebyś mnie osłaniała. Billy Pippins mówił, że natknęli się tu na stado dzików i ledwo dobiegli do auta.

- Dziki? - wykrzyknęła. - Są bardzo niebezpieczne.

- Owszem. Więc kiedy będę uzupełniał wodę, miej oczy otwarte i palec na cynglu. Będę ci wdzięczny.

- Tak. To mogę dla ciebie zrobić. Ale, Tom, dzika jest bardzo trudno zabić. Słyszałam o męskich udach przebitych przez jego kły na wylot. Znam jedną kobietę, która straciła kawał nogi. Dziki naprawdę są niebezpieczne. Postaw to naczynie z wodą bliżej drogi.

- Nie chcesz, żeby mi się coś stało?

Nie miała ochoty mówić mu, że się o niego niepokoi.

- Będziesz bliżej auta.

- Nie mogę przestawić tego dekla. - Pokręcił głową i zmarszczywszy brwi, spojrzał na szosę. - Pies przyzwyczał się już do tego miejsca. Pomyśli, że chcę go przechytrzyć i zmusić do kapitulacji. Wówczas ucieknie.

- Jego też... chcesz zmusić do kapitulacji?

- Owszem. Słuchaj, maleńka, mówiłem ci już kilka razy, że cię zdobędę. Uznaj to za fakt.

- Nie dokonasz tego.

- Wystarczy jeden zabójczy pocałunek i jesteś w mojej mocy.

Odwrócił się, a rondo jego kapelusza nie całkiem zasłoniło mu oczy.

- Ależ z ciebie chwalipięta!

Tom zjechał na skraj szosy i wyłączył silnik.

- Tom, zostaw mnie w spokoju - powiedziała Susan Lee z głośnym westchnieniem.

Tom spojrzał na nią z niewinnym zdziwieniem,

- Przecież cię uprzedziłem.

Susan Lee nerwowo szarpała klamkę.

- Nie dotkniesz mnie! I nie ma mowy o żadnych... zabójczych pocałunkach. Nie pozwolę ci na to!

- Dobrze. Nie będę cię całował. Ale obiecałaś mnie osłaniać.

Susan Lee rozejrzała się dokoła.

- Owszem.

- A tu właśnie jest ten pies.

- Myślałam...

- Jak mogłaś posądzić mnie o coś takiego? - zapytał ze znakomicie udawanym oburzeniem. - Przecież obiecałem twemu tacie, że będę się zachowywał przyzwoicie.

Spojrzała na niego jak na węża, który umie się uśmiechać. Był poważny i przekonujący. To niebezpieczny człowiek.

- Będziesz mnie osłaniać? - zapytał cicho.

Była pewna, że w tej konkretnej chwili naprawdę chodzi mu o obserwację terenu i pomoc w razie niebezpieczeństwa. Mógł jednak mieć na myśli coś zupełnie innego. Popatrzyła na niego uważnie, ale nie odpowiedziała.

Tom wziął z tylnego siedzenia strzelbę i podał jej.

- Jest zabezpieczona.

Susan Lee zręcznie chwyciła broń, przyjęła właściwą pozycję i odbezpieczyła strzelbę.

- Bądź ostrożny - powiedziała.

- Włóż kluczyki od auta do kieszeni. Gdyby ktoś nadszedł, nie chcę mu ułatwiać sytuacji.

- Tak - powiedziała i schowała kluczyki.

- Kiedy wrócę, pocałuję cię w nagrodę. Obdarzyła go spojrzeniem, w którym dostrzegł dezaprobatę z powodu takiego zachowania.

- Patrz przed siebie i na boki. Ja zajmę się resztą - powiedziała.

- Ty również rozglądaj się dokoła. I uważaj na siebie.
- Tak. I nasłuchuj. Dziki popiskują i chrząkają.
- Wiem, jak się zachowują.
- Bądź ostrożny, Tom.
 - Tak naprawdę to wcale nie ma niebezpieczeństwa. Wymyśliłem ci to zajęcie, żebyś się nie nudziła.
- Skoro jest tak bezpiecznie, to dlaczego mam zostać w aucie?
 - Bo jesteś dla mnie zbyt cenna, a nie jestem pewien, czy nie ma w pobliżu pумы.
 - I odyńca.
 - Nie sądzę, że to tu Billy i jego zidiociały braciszek natknęli się na te dziki.
- Susan Lee z trudem zdobyła się na uśmiech.
 - Przekonywałeś mnie, że jesteś w prawdziwym niebezpieczeństwie, podczas gdy po prostu opiekujesz się jakimś zagubionym, zdziczałym psem.
 - Czasem człowiek musi robić różne rzeczy.
 - A więc przyznajesz, że mnie oszukałeś! - Nie. Mówiłem tylko, że trzeba psu dawać wodę, żeby nie zdechł.
 - Stale żartujesz i nigdy nie wiem, kiedy mówisz serio.
 - Jeśli chodzi o tego psa, mówię zupełnie poważnie. I - wolno obrócił głowę, aż przyszpilił ją swoim spojrzeniem - o tobie także.
 - W tej kolejności? - wymknęło jej się mimowolnie.
 - Mam ci udowodnić?
 - Wykorzystam to w mojej rozprawie - zauważyła.
- Wybuchnął tak głośnym śmiechem, że Susan Lee dostała gęsiej skórki.
- Tom poprawił kapelusz, uważnie rozejrzał się dokoła, a potem wziął butelkę z wodą i ruszył ku szczelinie w ścianie krzaków.

Susan Lee widziała, gdzie stoi dekiel, ale nie wpatrywała się w Toma. Rozejrzała się dokoła. Odwróciła głowę i obserwowała drogę.

Nagle zauważyła jakiś ruch na krawędzi wzgórza i na nim skupiła całą uwagę. Coś tam było. Przysunęła się bliżej do okna. Może powinna ostrzec Toma? Nie uzgodnili żadnego sygnału. Nie odrywając wzroku ód miejsca, gdzie, jak się jej wydawało, coś widziała, cichutko zagwizdała dwa razy.

Tom zatrzymał się i znieruchomiał. Jak dać mu znać, gdzie ma patrzeć? Nie, kolejny sygnał okazał się niepotrzebny, bo Tom zaczął uważnie rozglądać się dokoła.

Susan Lee bezszelestnie wysiadła z auta i stanęła w otwartych drzwiach.

Nie czyniąc żadnych gwałtownych ruchów, Tom napełnił dekiel. Potem wolno rozejrzał się dokoła. Szczególnie dokładnie oglądał krawędź wzgórza. Nasłuchiwał. Ona też. Trzymała strzelbę w pogotowiu i oddychała gwałtownie. Była bardzo czujna.

Tom wolno ruszył w jej kierunku. Zaufał jej i nie oglądał się do tyłu.

Susan Lee ani na moment nie przestała obserwować terenu.

Gdzieś za sobą usłyszała nadjeżdżające auto. Nie odwróciła się.

Nawet wówczas, kiedy zaparkowało tuż obok auta Toma.

Tom był już coraz bliżej. Ostrożnie stawiał stopy, starając się nie stracić równowagi. Ktoś otworzył drzwi auta.

- Jestem tutaj - rozległ się męski szept. - Co się dzieje? Dzikie zwierzę? Gdzie jest?

Susan Lee brodą wskazała krawędź wzgórza.

- Mam pistolet. Powiedz, co się dzieje?

- Nie wiem - odszepnęła. Wokół panowała absolutna cisza. Nawet ptaki zamilkły.

Tom minął zawiązaną na gałęzi chusteczkę i zatrzymał się.

Odwrócił się i uśmiechnął do kogoś stojącego za Susan Lee.

- Witaj, Tweed - szepnął ledwo dosłyszalnie.

- Czy ona chce cię zastrzelić? - spytał równie cicho Tweed.

- Nie - odparł Tom. - Zobaczyła coś podejrzanego na wzgórzu. Jesteśmy trochę niespokojni, bo tu w okolicy znaleźliśmy ślady pumy - wyjaśnił i uśmiechnął się do swego przybranego brata. - Co u ciebie, Tweed? Skąd się tu wziąłeś?

- Usłyszałem, że gdzieś w tej okolic był pożar, i zastanawiałem się, czy przypadkiem miejscowi obywatele nie postanowili spalić cię na stosie.

Tom otworzył tylne drzwi swego auta.

- Wsiadajcie.

Susan Lee zabezpieczyła strzelbę. Tweed jednak nadal rozglądał się dokoła.

- Nie przedstawiłeś mnie - zauważył.

- Susan Lee, to jeden z moich braci. Mieszkał przez pewien czas z Brownami, a potem zniknął i nic o nim nie wiedzieliśmy. Kiedyś opowie ci, dlaczego nosi tak dziwne imię, ale to dopiero po kilku piwach.

Susan Lee uśmiechnęła się. Nadal się rozglądała.

- Co widziałaś? - spytał Tom.

- To był albo pies, albo puma. Trudno mi było ostrzec Toma, bo nie uzgodniliśmy żadnego sygnału.

- Sprawiałaś się znakomicie - zapewnił ją.

- Mamy pewien rodzinny sygnał. Jeden ostry gwizd znaczy - wracaj natychmiast. Dwa ciche - uważaj.

- Zapamiętam.

- Nie byłam pewna, czy mnie słyszysz.

- Było zupełnie cicho, dopóki Tweed nie nadjechał swym gruchotem - odparł Tom.

- Nie nazywaj tej wspaniałej maszyny gruchotem. Jestem do niej bardzo przywiązany - rzekł Tweed.

- Aż trudno uwierzyć, że to w ogóle jeździ. Będę ojcem chrzestnym - pochwalił się Tom, kładąc rękę na ramieniu Tweeda.

- Kto powziął taki bezsensowny zamiar?

- Petersonowie. Urodził im się syn i dali mu moje imię.

Tweed z niedowierzaniem pokręcił głową.

- To tylko dlatego, że cię dobrze nie znają. Unieszczęśliwić dziecko takim ojcem chrzestnym! No, może długo tu nie pomieszkasz. Nie zdążysz chłopca zdeprawować.

- Zdeprawować? - zapytała cicho Susan Lee.

- Widzisz, co zrobiłeś? - zwrócił się Tom do Tweeda.

- To okropny człowiek - rzekł z przekonaniem Tweed. - Kiedyś ci powiem, dlaczego wyniósł się z Ohio.

- A ja uważałem cię za brata!

- Dał naszemu bratu, Bobowi, purpurowe prezerwatywy przed jego nocą poślubną! Sama rozumiesz...

- Wiesz, Bob tak ponaglał Jo, że uważałem, iż powinna mieć trochę czasu na zastanowienie, zanim zajdzie w ciążę.

- Czy ty aby jesteś w odpowiednim wieku na takie rozmowy? - zwrócił się Tweed do Susan Lee.

- To ty poruszyłeś temat purpurowych prezerwatyw - zaprotestował cicho Tom.

- Nie, to ty. Ty zaniósłeś je na strych.

- Na strych? - zdziwiła się Susan Lee.

- Tak - przyznał Tom. - Jest coś w naturze Brownów, co sprawia, że mamy ogromne ciągoty do strychów. Cray z żoną mieszkali na poddaszu przez prawie rok. Bob i Jo nadal rezydują na strychu w naszym domu.

- I nigdy nie wychodzą?

- Ależ tak. Szczególnie kiedy rodzą im się dzieci. Wtedy Bob wiezie Jo do szpitala.

Tweed z trudem stłumił śmiech.

- Bardzo mi was, Brownów, brakowało. Tak się do was przyzwyczaiłem, że wciąż za wami tęsknię.

- Tom próbuje właśnie poskromić pewnego zdziczałego psa - wyjaśniła szeptem Susan Lee.

- Po co? - zdziwił się Tweed.

Tom wzruszył ramionami.

- Wygląda na dobre stworzenie.

- A co ty zrobisz z psem? Nigdzie nie zagrzewasz miejsca. Przyzwyczai się do ciebie i co wówczas będzie?

Susan, słysząc te słowa, spojrzała na Toma bardzo wymownie.

- Tom ma naturę włóczęgi? - spytała Tweeda.

Tweed parsknął śmiechem.

- Mógłbym ci o nim wiele opowiedzieć. Ma wady, ale to w gruncie rzeczy dobry człowiek.

- Mówisz tak, bo to twój brat - zauważyła Susan Lee.

- Tak naprawdę nie jesteśmy rodzeństwem. Tom traktuje mnie jak brata, bo przez kilka lat mieszkałem w jego domu.

Susan Lee uśmiechnęła się.

- Odkąd tu przyjechałem, niczego podejrzanego nie zauważyłem - rzekł Tweed. - Mam dwa pistolety w swej karocy. Chcecie się rozejrzeć?

- Jeśli to był ten pies, nie chcę, żebyś się tu włóczył z bronią. Mógłbyś go spłoszyć.

- Jak wygląda?

- To kundel, może mieszanka doga z bokserem. Ma ranę na boku.

- Od jak dawna się tu kręci?

- Chyba od tygodnia.

- Musi mieć jakiś powód - stwierdził po chwili zastanowienia Tweed.

- Szukałem w okolicy śladów jakiegoś wypadku, ale niczego nie znalazłem. Pożar już ugaszono, więc jeśli chcesz, możesz pojechać z nami do Petersonów - zwrócił się do Tweeda.

- Powinam już wrócić do domu - wtrąciła się Susan Lee.

- Może powinnaś, ale nie musisz - rzekł z uśmiechem Tom. - Jedziesz z nami? - spytał Tweeda.

- Ponieważ nie grozi ci spalenie na stosie, chyba wrócę do siebie. Szukałem tego cholernego byka, Hugo.

- Tweed bardzo chce go oswoić - wyjaśnił Tom Susan Lee.

- Jak on wygląda? - zainteresowała się.

- Mam u Petersonów jego zdjęcie.

- Kiedyś, dawno temu - zaczęła Susan Lee - popełniono tu w Teksasie morderstwo, które zostało zatuszowane. Na znak protestu ludzie wypisali słowo: „morderstwo” na boku młodego wołu. Mógł biegać swobodnie jako znak protestu.

- Słyszałem o tym - przypomniał sobie Tweed. - Przez całe lata nikt go nie ruszył ani nie zabił. Biegał sobie, dokąd chciał.

- Każda okolica ma związaną z nią legendę - powiedziała Susan Lee. - My też.

- I my, na północy.

- No, tak, wasze legendy mają najczęściej związek z pogodą.

Brownowie spojrzeli na siebie i roześmiali się.

- Pojedź z nami do Petersonów - spróbował jeszcze raz przekonać brata Tom. - Opowiadałem im o tobie i chętnie cię poznają.

- Innym razem. Muszę wracać. Jeśli zobaczycie po drodze jakiegoś opętanego byka, zapytajcie, jak ma na imię. Jeśli powie, że Hugo, zapędźcie go do zagrody i dajcie nam znać.

- Nie mam zamiaru szukać żadnego byka. Wiele można o mnie powiedzieć, ale na pewno nie jestem głupi.

- Ten byk uprowadza nasze krowy - poskarżył się Tweed.

- Bardzo mi przykro - rzekł bez śladu współczucia Tom.

- A gdyby spotkał odyńca? - zainteresowała się Susan Lee. - Jest sprytny i uniknąłby konfrontacji.

- To musi być przykre uczucie przekonać się, że byk jest od ciebie sprytniejszy.

- Skąd wiesz? - spytał Tweed.

- Szukasz go. O ile pamiętam, to i wtedy, kiedy znalazłeś Connie, też go szukałeś.

- To prawda - mruknął Tweed i odwrócił głowę.

- Nie chciałem ci o tym przypominać - rzekł cicho Tom.

- Nic się nie stało. To cud, że ją znalazłem. Inaczej by umarła.

- Miała szczęście.

Tom miał taki wyraz twarzy, że Susan Lee nie odważyła się zadać żadnego pytania. W milczeniu przyglądała się obu braciom.

Tweed wstał i położył Tomowi rękę na ramieniu.

- Zachowuj się przyzwoicie. Wpadnę innym razem. Przekaż ode mnie pozdrowienia Petersonom i pogratuluj im chłopaka.

- Zrobię to na pewno - odparł z uśmiechem Tom.

- Susan Lee, musisz przyjechać do nas i odwiedzić Connie. I musisz też zobaczyć obrazy, które namalowała pani Fuller.

- Dziękuję. Z przyjemnością.

- Tu w okolicy jest nas, Brownów, całkiem sporo. Powinnaś nas wszystkich odwiedzić i ocenić, czy się zaaklimatyzowaliśmy.

Susan Lee zaśmiała się cichutko.

- Patrzcie - szepnął nagle Tom.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ponieważ Tom wskazywał ręką w kierunku krzaków, pasażerowie samochodu spojrzeli tam.

Wielki, żółty pies schodził ze zbocza. Co parę kroków zatrzymywał się, rozglądał i nasłuchiwał. Obejrzał z uwagą zaparkowane na poboczu auta, potem podszedł do pełnego świeżej wody dekla. Chleptał szybko, ale co chwila podnosił głowę i nasłuchiwał.

- Jest ostrożny - szepnął Tom.

- Zaczyna dziczeć, tak jak Hugo - dodał cicho Tweed.

- Chcesz powiedzieć, że zbierze sobie stado?

- Oczywiście - odparł w zamyśleniu Tweed. - Psy pozwalają słabszym od siebie osobnikom dołączyć do stada. Hugo nie znosi rywali. Chce mieć wszystkie krowy dla siebie.

- Nigdy nie słyszałem o udomowionym psie, który dałby sobie radę na pustkowiu. Takie psy nie umieją zabijać dzikich zwierząt, więc je tylko okaleczają. Zabijanie to szczególna umiejętność. Udomowione psy nie mogą zdziczeć. Muszę przywrócić go cywilizacji.

- Ciekawe, czemu jest taki przestraszony.

- Akurat dzisiaj słyszałem, że dwóch facetów próbowało zastawić na niego pułapkę.

- I nie udało im się.

- Na to wygląda.

- Mówisz o Pippinsach? - zainteresowała się Susan Lee.

Tom spojrział na nią, zanim potwierdził jej przypuszczenie.

- Tak. O nich.

Susan Lee nie odpowiedziała.

Pasażerowie samochodu z uwagą obserwowali zwierzę. Pies sprawdził teren, w kilku miejscach go zaznaczył, potem wypił jeszcze trochę wody i położył się.

- Muszę już wracać - rzekł w końcu Tweed. - Miło było was spotkać. Odwiedźcie nas któregoś dnia.

Tom i Susan Lee wysiedli wraz z nim i pomachali mu na pożegnanie.

A potem Tom nagle otoczył Susan Lee ramieniem.

- Kocham cię, ty rozpustnico.

- Nie jestem rozpustnicą.

- Co robiłaś nad stawem?

- Nie twoja sprawa.

- Wiesz, skoro jesteś moją dziewczyną, muszę wiedzieć o wszystkich skandalach, w które się uwikłałaś. Muszę znać twoją przeszłość. Co robiłaś nad stawem?

- Nic, co mogłoby wprowadzić cię w zakłopotanie.

- A ciebie? - spytał Tom. - Czemu się rumienisz i nie chcesz o tym mówić? Czy to coś, co oburzyłoby starsze panie?

- Nie.

- Jak to się stało, że stoimy tu i rozmawiamy o skandalach w chwilę po tym, jak powiedziałem ci, że cię kocham? Czy tylu mężczyzn ofiarowało ci już swoje serce, że się na to uodporniłaś?

- Nie wierzę, że mówisz poważnie. Przecież prawie się nie znamy.

Tom uśmiechnął się i spuścił oczy. - Znamy się wystarczająco dobrze. I jestem tobą oczarowany. Nie stójmy tutaj, lepiej ukryjmy się. Wcale nie jestem pewien, czy tam na wzgórzu to był ten pies. Wsiądźmy do auta i poobserwujmy go trochę. Tam sobie porozmawiamy.

Problem polegał na tym, że Tom wcale nie rozmawiał. Pieścił Susan Lee i całkowicie uniemożliwiał jej obserwowanie psa.

Powiedział jej, że go pociąga. Że czuje się, będąc przy niej, jakby płonął. Że nigdy w życiu nie czuł czegoś takiego do żadnej kobiety.

Powiedział, iż jest w stanie myśleć tylko o niej i że uniemożliwia mu to robienie rzeczy, które powinien robić. Ludzie mówią coś do niego, a ich głosy zanikają i w jego wyobraźni pojawia się jej obraz. Ciągłe się zastanawia, co ona w tym momencie robi i kto się akurat do niej zaleca.

Gdziekolwiek jest, myśli o niej. Marzy o niej. Pragnie, by była z nim. Przy nim. Jego ciało tęskni za jej ciałem, a ręce chcą ją pieścić. Jest taka miękka.

Jej usta są takie słodkie i doprowadzają go do szaleństwa. Nigdy się nią nie nasyci. Zupełnie stracił głowę.

I serce.

- Bzdury - udało jej się z trudem wyszeptać opuchniętymi od pocałunków wargami.

- Jak możesz tak mówić, kiedy otwieram przed tobą swoje serce?

- Jesteś... doświadczony.

- W mówieniu? Oczywiście, że umiem mówić. Robię to od dwudziestu sześciu lat!

- W miłości - uściśliła z wysiłkiem.

- Chciałbym tak o sobie powiedzieć. - Był niezadowolony. Wielką dłonią gładził jej miękki brzuch i biodro. - Masz na sobie zbyt wiele ubrania.

- I całe szczęście.

- I jesteś pyskata. Powinnaś być uległa i słodka.

- Skoro płoniesz, gdy mnie dotykasz, muszę sprawić sobie kombinezon z azbestu. Czy takie rzeczy są w wolnej sprzedaży?

- Nie.

Susan Lee westchnęła, a Tom z zachwytem spojrział na jej piersi.

- Pewnie nie znajdę takiego materiału, z którego można uszyć strój chroniący cię przed poparzeniem - poskarżyła się.

- Pocałuj mnie.

Susan Lee pokręciła przecząco głową.

- Dostałeś już dzisiejszą porcję.

- Ile?

- Pięćdziesiąt.

- To niemożliwe, bym dostał pięćdziesiąt pocałunków w tak krótkim czasie. Nie umiesz liczyć. Nie tylko prychasz, ale jeszcze nie umiesz liczyć! Jakie będą nasze dzieci?! Prychające i na dodatek nie umiejące liczyć!

- Nie histeryzuj.

- Myślałem, że tylko kobiety histeryzują.

- To mężczyźni twierdzą, że tylko kobiety histeryzują. Ale wiesz co? - dodała. - Twoje ataki hysterii opiszę w swojej rozprawie.

- Jeśli wykorzystasz opis mojej hysterii w swojej pracy, będziesz musiała wyjaśnić, dlaczego histeryzowałem, i napisać, że to przez ciebie.

- Pozostawię ten opis bez komentarza - oświadczyła po chwili milczenia.

- Nigdy w życiu nie pragnąłem żadnej kobiety tak bardzo jak ciebie. - Za szybko to powiedziałeś. Najwyraźniej masz dużą praktykę w składaniu takich deklaracji.

- Zadałaś mi pytanie, a ja ci odpowiedziałem. To prawda. Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

- Bzdura.

- Dotknij mnie i sama się przekonaj. Susan Lee nagle wysunęła się z jego objęć.

- Chyba wejdę na to wzgórze i sprawdzę, jakie zwierzę się tam ukrywa - oznajmiła. - Powinno zostawić jakieś ślady. Jeśli to puma, będę krzyczała.

- Nie pozwalam ci wysiadać z auta.

- Cokolwiek to było, na pewno łatwiej dam sobie z nim radę niż z tobą.

Tom poczuł się obrażony.

- Przez cały czas zachowuję się jak dżentelmen.
- Bzdura.
- Prychająca, nie umiejąca liczyć i samolubna - skarżył się Tom, patrząc na sufit samochodu. - I w dodatku uwielbia słowo „bzdura”!
- Jesteś maniakiem seksualnym.
- Do tej pory nigdy nim nie byłem.
- Tweed mówił, że wygnano cię z Ohio. Kobiety cię wypędziły?
- Ich narzeczeni.
- Rozumiem. To może i Garth wypłoszy cię z Teksasu.
- Niech próbuje - rzekł i odsunął się trochę od Susan Lee.
- Jesteś naprawdę wyjątkowa. Wciąż jestem cię spragniony. Dlaczego akurat ciebie? Dlaczego kobiety, która prycha i nie umie liczyć pocałunków, i...
- Bo całujesz dwa lub nawet trzy razy bez przerwy na oddech i liczysz to jako jeden pocałunek. W ten sposób mnie oszukujesz. Już dawno przekroczyłeś limit.
- Nie wiedziałem, że jest jakiś limit pocałunków. - Jest. Jeśli ktoś go przekroczy, narazi się na przykrości.
- A więc nie chcesz, aby było mi przykro - rzekł Tom.
- Nie chcę, żebyś...
- To dobrze! - ucieszył się i przysunął się bliżej.
- Nie, nie, nie, nie!
- Ale przecież przed chwilą powiedziałaś...
- Trzymaj się ode mnie z daleka!
- Drażnisz się ze mną.
- Wcale nie. Po prostu staram się powstrzymać twoje zapędy.
- No, tak, ale... wzdychasz. Siedzisz i wyglądasz przez okno, a kiedy do ciebie mówię, uśmiechasz się.
- Nie powinnam się do ciebie uśmiechać?
- Ten uśmiech mówi mi, że mnie lubisz.

- Czy jest w tym coś złego? - zdziwiła się.

- Nie.

- Od kiedy skończyłam piętnaście lat, nigdy nie musiałam tak walczyć z żadnym mężczyzną. Mam wrażenie, że za późno dojrzałaś, w twoim wieku powinieneś już umieć nad sobą panować.

Obrzucił ją szybkim spojrzeniem i uśmiechnął się.

- Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, jak bardzo staram się opanować.

- Jadę do domu, a ty zostań tu sobie z tym psem. Siedziała wyprostowana i całkiem spokojna, ale

włosy miała potargane i wargi obrzmiałe. Patrzyła na niego, jakby czekała, że wysiądzie z auta.

Tom pochylił się i przyciągnął ją do siebie. Wyjął kluczyki z jej kieszeni. Potem wysiadł, obszedł auto i usiadł za kierownicą. Włączył silnik, spojrzał na nią i lekko się uśmiechnął, a ona zadrżała. Auto ruszyło.

Obserwowała Toma. Wcześniej obserwowała zdziczałego psa, a teraz patrzyła na mężczyznę, który jest jeszcze bardziej niebezpieczny.

Spojrzała na drogę i przekonała się, że Tom wiezie ją do domu. Nie była pewna, czy w tej chwili chce tam wracać.

Dlaczego mężczyznom wydaje się, że kobiety nie mogą czuć tego co oni? Dlaczego to kobiety muszą się opierać, protestować i oburzać? Przecież tak samo pragną i pożądają mężczyzn. Musiała przecież panować nie tylko nad nim, ale i nad sobą!

A gdyby odwrócić role? Gdyby to ona starała się go uwieść? Dlaczego zawsze kobieta ustala zasady i granice? No, tak, to rozumiałe. Mężczyźni nie zachodzą w ciążę.

Nagle uświadomiła sobie, że Tom zmienił kierunek jazdy. Ta skała znajduje się na drodze do Petersonów. Co on znów kombinuje? Petersonowie są przecież u jej rodziców. Czy

myśli, że jest taka głupia i o tym zapomniała? Obserwowała go kątem oka.

Cała jego uwaga skupiona była na prowadzeniu pojazdu. W każdym razie jego wzrok utkwiony był w przedniej szybie samochodu. Twarz Toma wyrażała skupienie. Była piękna.

Wiatr rozwiewał jego włosy. Kapelusz leżał na tylnym siedzeniu. Rzucił go tam, gdy wysiadł Tweed. I wtedy wepchnął ją na to ciasne, przednie miejsce dla pasażera.

Uświadomiła sobie, że gdyby chciał ją wykorzystać, po wyjściu Tweeda posadziłby ją z tyłu. Dziwne zachowanie jak na kogoś tak zdecydowanego.

Smucił go i denerwował opór Susan Lee.

A jednak nie nalegał. Pozwolił jej decydować.

To dżentelmen, pomyślała ze wzruszeniem. Dokąd jedziemy? - zapytała. - Porywam cię - odparł, nie odwracając wzroku od szosy.

- Doprawdy? Jakiego okupu zażadasz od taty?

- A ile jesteś warta?

- Obawiam się, że tyle nie ma. Spojrzał na nią z rozbawieniem.

- Może weźmie pożyczkę z banku.

- Mimo że tata bardzo mnie kocha, obawiam się, że zacznie łać krokodyle łyzy i załamywać ręce, a potem jednak zgodzi się, byś mnie zatrzymał.

- To dobrze.

- Będzie się jednak stanowczo domagał, byś wziął ze mną ślub.

- O rety!

Susan Lee westchnęła.

- Tak. Kiedy się urodziłam, kupił dubeltówkę, żeby użyć jej jako argumentu w rozmowie z przyszłym zięciem.

- O Boże!

- Widzę, że nie kwapisz się do tej rozmowy.

- Nie przypuszczałem, że rodzicom będzie ciebie aż tak brakowało.

- Mówisz to dlatego, że mama podłożyła ogień, żeby ratować twoją skórę?

- Wiesz, myślałem, że po prostu chce się ciebie pozbyć! Nie miałem zielonego pojęcia, że chodzi jej o to, żebyśmy się pobrali. To zupełnie zmienia postać rzeczy.

- Przez cały czas usiłuję ci to wytłumaczyć.

- Trudno z tobą wytrzymać.

Powiedział to, co ciągle mu powtarzano, gdy zamieszkał u Petersonów.

Wiedząc, że na nią patrzy, Susan Lee z zainteresowaniem przyglądała się swoim rękom. - Kiedy się pobierzemy, z przyjemnością przemebluję twój dom.

- O rety!

- I gram w brydża - kontynuowała słodko. - Jeśli zabraknie chętnych, pozwolę ci czasem zagrać.

- O Boże!

Susan Lee z uśmiechem przyglądała się swoim dłoniom.

- Mówiłeś, że jesteś ekspertem.

- Tak - przyznał, pokonany.

- A na noc wkładam lokówki ze szpilkami - dobiła go.

Tom nacisnął hamulce i z piskiem opon zawrócił.

Susan Lee wybuchnęła śmiechem.

Tom zahamował, błyskawicznie odpiął swój pas bezpieczeństwa, potem jej i chwycił dziewczynę w ramiona.

Pocałował ją w sposób co najmniej niepokojący.

Susan Lee poczuła, że jej ciało staje się całkiem bezwładne. Pojękiwała i oddychała nierówno. Jej usta pragnęły pocałunków Toma.

Potem posadził ją z powrotem, zapiął najpierw jej pas, później swój i wsunął się za kierownicę. Tak po prostu. Drżał

jednak. Trzęsły mu się ręce. Udawał bardzo opanowanego, ale zdradzały go te drobne oznaki.

Zawrócił i pojechał znowu w kierunku domu Petersonów.

Susan Lee wiedziała, i to bardzo dobrze, że Petersonowie są u jej rodziców wraz z całą resztą sąsiadów i odpoczywają po gaszeniu pożaru. Co Tom planuje, wioząc ją do nich i wiedząc, że dom jest pusty?

No, tak, będzie tam pewnie Willy. Tom chyba o nim zapomniał. Susan Lee siedziała w milczeniu i z zadowoleniem myślała, jak bardzo Tom się zdziwi, kiedy zastanie tam przyzwoitkę.

Zjechali na coś w rodzaju parkingu przy domu Petersonów. Wokoło nie widać było żywej duszy.

Susan odwróciła głowę i ostrożnie spojrzała na Toma.

Uśmiechnął się. Jego potargane włosy, krzaczaste brwi i wydatny podbródek nadawały twarzy pełen buty wyraz.

- Nie, nie ma mowy - poinformowała go, unosząc brwi.

- Nie ma mowy o czym?

- Nie zdobędziesz mnie.

- Ależ Susan Lee McCrea! Cóż za prymitywne myślenie.

Co, na miłość boską, chodzi ci po głowie, że podejrzewasz mnie o coś takiego?

Nie dała się nabrać.

Tom zatrzymał auto i wyłączył silnik. Zapadła cisza. Na dworze też było cicho. Czyżby byli sami? Jak to możliwe w takim miejscu jak posiadłość Petersonów?

- Chcesz zobaczyć moją ciemnię w stodole? - zapytał Tom. - Mam zdjęcia psa. I twoje - te, których nie pokazałem rodzinie.

Ciemnia w stodole to nie sypialnia.

- Jakie moje zdjęcia? - zapytała. Potem przypomniała sobie o stawie i znieruchomiała.

Tom z trudem stłumił śmiech. Żadna kobieta nie potrafi oprzeć się pokusie obejrzenia własnych zdjęć.

- Z zabawy w remizie.

W porządku. T e może obejrzeć. Susan Lee otworzyła drzwi i wysiadła z auta.

Tom włożył kapelusz i poprowadził ją do stodoły.

Przeszli pod ogromnym dębem, o którym mówiono, że ma czterysta lat. Zwano go Drzewem Narad. Nikt już jednak nie wiedział, kto i kiedy się pod nim naradzał. Istniało kilka różnych wersji.

Niższe konary dębu podparto kolumnami cegieł. Były takie długie i niskie, że zgniłyby, leżąc na ziemi. Tom opowiedział Susan Lee o werandzie. Wbudowano ją w stary dąb na farmie, na której mieszkał Tweed.

- I wcale nie jest to tylko sama podłoga - wyjaśnił. - To prawdziwa weranda. Musisz ją zobaczyć. Kazała ją zbudować Ethel, żona Sama. Zrobiono nawet rzeźbione schodki. Urządzają tam przyjęcia. Na trawniku gra orkiestra, a goście tańczą na tej werandzie. Wygląda to bardzo elegancko.

Susan Lee przyznała, że pomysł jest niebanalny.

- Kiedyś, kiedy żyła jeszcze starsza pani Fuller, moi rodzice tam bywali. Sam też czasami nas odwiedzał, ale to było dawno. Byliśmy jednak na weselu Tweeda.

- Ja też tam byłem! Jak to możliwe, że cię nie zauważyłem?

- Interesowała cię tylko ta pielęgniarka.

- Jaka pielęgniarka?

- Czyżbyś jej nie pamiętał?

- Straszna z niej była flirciara - uśmiechnął się Tom.

- Wcale ci to nie przeszkadzało. Tom wybuchnął śmiechem.

- Jestem ostrożna, bo widziałam, jak ją traktowałeś.

- Nie dorasta ci nawet do pięt.

- Gadanie. Nie nabierzesz mnie na to.
 - Myślałem, że kobiety lubią komplementy.
 - Widzę, że znasz się na kobietach.
 - No, cóż, mój ojciec był marynarzem, a marynarze to najwięksi kobieciarze na świecie. Mimo że przez pewien czas po zejściu na ląd mają kłopoty z chodzeniem.
 - Widzisz? Na wszystko masz gotową odpowiedź. - Musisz się wybrać do Ohio. Tam wszyscy mężczyźni są tacy. Może nie mówią po teksańsku, ale mówcy z nich przedni. Tylko może faceci z Indiany są od nich bardziej wygadani.
 - Widzę, że przeprowadziłeś badania w tej dziedzinie.
 - Przed fotografem otwiera się wiele drzwi - rzekł z uśmiechem, otwierając wrota stodoły.
- Susan Lee weszła do środka.
- Prosto przed siebie - wskazał jej kierunek Tom.
 - Ten kącik w rogu to moja ciemnia.
 - To niesamowite, że Geo pozwolił ci ją tutaj urządzić - powiedziała Susan Lee, przeciskając się między traktorami i różnymi maszynami rolniczymi.
 - Jak ci się go udało do tego namówić?
 - Zrobiłem mu zdjęcie z Mim na kolanach.
 - Bardzo ją kocha.
 - Masz rację. Wszystkich innych zaledwie toleruje, ale Mim naprawdę kocha.
 - Pokaż mi to zdjęcie.
 - On ma jedyną odbitkę. Kazał mi zniszczyć negatyw.
 - A ty go posłuchałeś? - zapytała, przyglądając mu się podejrzliwie.
 - Jeden zniszczyłem.
 - Jeden?
 - Tak.
 - A jeśli się dowie, że masz jeszcze jeden?
 - Zabije mnie.

- Z pewnością. - Susan Lee w zamyśleniu skinęła głową i popatrzyła na wiszące na ścianach zdjęcia. Przyroda, skały, ślady zwierząt, wąwozy i - ona.

Było bardzo dużo zdjęć Susan Lee McCrea. Na zabawie w remizie, w szpitalu z nowo narodzonym Tommym Petersonem, na parkingu.

- Kiedy je zrobiłeś?

- Mam taki maleńki aparat, który mieści się w dłoni. Mogę nim robić zdjęcia bez zwracania na siebie uwagi.

- To niemożliwe.

Tom ręką wskazał wiszące na ścianie fotografie.

- Tu masz dowód.

Susan w milczeniu przyglądała się zdjęciom. Tom nie spuszczał z niej wzroku.

- Wyglądam na nich lepiej niż w rzeczywistości - powiedziała w końcu z powagą.

- Wcale tak nie uważam.

- Gdzie są te, które musiałeś wyrzucić? Tom poprawił kapelusz.

- Wyrzuciłem jedno, na którym wytrzeszczasz oczy, drugie, na którym pokazujesz język i...

Susan Lee uderzyła go w ramię, a on wybuchnął śmiechem.

Wyjął z kieszeni portfel i otworzył go.

- O, zobacz.

To była ona, ze strzelbą w ręku. Padające z tyłu światło sprawiało, że wyglądała groźnie, a jednocześnie zdawała się być pełna spokoju. Kontrast był niesamowity. Było to znakomite zdjęcie.

- To ty - szepnął Tom. - To ty jesteś tą kobietą. Chcę, żebyś mnie zawsze osłaniała.

To wyjaśniało wszystko. On będzie podejmował ryzyko, ale chciałby, żeby przy nim czuwała. Pragnie, by zawsze była przy nim.

- Czy jesteś tego pewien? - spytała.

- Popatrz na to zdjęcie. Rzuciła wzrokiem na fotografię.

- To gra światła i cienia. Dlatego tak groźnie na nim wyglądam. W innym świetle zobaczyłbyś inną kobietę. Inną mnie. - Nie jesteś jedną osobą. Wszyscy mamy w sobie wiele czułości. Żyją w nas dusze przodków. Jesteś tą właśnie silną kobietą, kiedy musisz nią być. A kiedy trzymam cię w ramionach i całuję, jesteś kimś zupełnie innym.

- Zwiodło cię to zdjęcie.

- Nie. Popatrz sama.

- Nie jestem ani tak ładna, ani tak sympatyczna - mówiła z powagą. - Powinieneś zachować to zdjęcie, na którym zezuję i pokazuję język.

- Nie było takiego. Żartowałem.

- Nie jestem doskonała.

- Ja też nie.

- To nie jest przedstawienie prawdziwej osoby. To płaskie odbicie przypadkowej kombinacji barw, światła i cienia.

- To twoje zdjęcie.

- To nie mną jesteś oczarowany. Obraz, który widzisz, jest tym, który chcesz widzieć. Zawierzyłeś swojej wyobraźni.

- Wszystko, co mówisz, to prawda. Zapominasz tylko, że znam oryginał, na podstawie którego powstała ta fotografia, czyli ciebie.

- Zbyt dużo czasu spędzasz w tej swojej ciemni, bawisz się filtrami i odczynnikami. Stworzyłeś istotę nieprawdziwą. Nie jestem nią.

W głosie Susan Lee nie było ani cienia kokieterii. Była absolutnie przekonana o prawdziwości swoich słów. To chyba wtedy Tom zrozumiał, że ją poślubi. Pokona wszelkie

przeszkody. To kobieta, która wzbogaci jego życie i dzielić z nim będzie umiłowanie formy i koloru.

Spojrzał na nią, a jego oczy zobaczyły to, co powinny. Jego dusza zobaczyła Susan Lee, jaką naprawdę była. Tak właśnie postrzega się ukochaną kobietę. - Kocham cię - powiedział.

- Bzdura.

- No, przynajmniej nie prychnęłaś - ucieszył się i przysunął bliżej. - Marzę o pocałunku.

- To nie wchodzi w grę.

- Dlaczego?

- Jesteśmy w ciemni. Nie mogę zbliżyć się do ciebie w takim przestronnym, mrocznym miejscu. To by było nierozsądne.

- W samochodzie mnie całowałaś.

- Ale nigdy w miejscu, z którego nie mogę uciec.

- Nie ufasz mi.

Spojrzała na niego z lekkim uśmiechem.

- To uśmiech co najmniej prowokujący - zaznaczył.

- Naprawdę nie mogę ci ufać. Rozpoczynasz dyskusję, aby uspić moją czujność - powiedziała, podchodząc do drzwi.

- Muszę wracać do domu.

Nie protestował. Susan Lee nie powiedziała, że w ogóle go nie całuje, tylko że nie zamierza tego robić w ciemni. Pocałuje go za to w samochodzie.

I całowali się na przednim siedzeniu. Jak zwykle, przeszkadzała mu kierownica.

Później udało się Susan Lee przekonać Toma, że u niej w domu nie ma już żadnych gości i że powinna wracać. Miała rację. Przed domem stały tylko auta jej rodziców.

- Musisz sama wejść do domu - powiedział, zatrzymując się przed domem. - Wystarczy, że twój ojciec tylko na mnie

spojrzy i już nigdy nie pozwoli ci się ze mną spotkać. Ale zapamiętaj sobie jedno, najdroższa. Zdobędę cię.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Susan Lee patrzyła na jego potargane włosy, które próbował przygłodzić sztywnymi palcami. Zauważyła, że oddycha przez usta, bo pocałunek pozbawił go tchu. Był spięty i niespokojny.

- Jesteś genialnym fotografem - powiedziała. - Moi rodzice będą zachwyceni tym zdjęciem.

- Twój tata od razu pozna, że cię pragnę. ~ Skąd taki pomysł? - oburzyła się.

- Tak. To widać, że aparat cię kocha. A przecież to ja robiłem to zdjęcie.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

- Jesteś naprawdę dziwny. Nie wiem, jak sobie z tobą radzić i...

- Nauczę cię tego - obiecał z zapałem.

- To, jak sądzę, miała być propozycja nie do odrzucenia?

- Tak.

- Jakoś mnie to nie dziwi.

- Wyjedźmy na kilka dni na piknik.

- Dziękuję za zaproszenie, ale muszę odmówić.

- Boisz się mnie?

- Moi rodzice lubią pikniki i zechcą się do nas przyłączyć.

Zaproszą też pewnie swoich przyjaciół i zrobi się z tego cała wycieczka.

- Spróbujemy się jakoś wymknąć. - Zapomniałeś, jak pomagałeś swojej mamie szukać sióstr, kiedy wymykały się ze swoimi chłopcami?

- Pamiętam - - przyznał z rezygnacją Tom.

- Wszyscy mężczyźni zapominają o tym. Wydaje im się, że to oni pierwsi wymykają się z dziewczyną i że nikt tego nie zauważy.

- Zniechęcasz mnie. Susan Lee rozłożyła ręce.

- Wcale nie. Ale skąd mam mieć pewność, że jeśli zrobię, co zechcesz, ty nagle nie zmienisz zdania? Poznasz mnie dokładnie, odkryjesz wszystkie moje wady...

- Tak, lokówki z wystającymi szpilkami - westchnął dramatycznie Tom.

- To cię zniechęciło?

- Prawie - odparł z przekonaniem.

- Wiesz, można by zobaczyć, jak będę wyglądała z prostymi włosami.

Jej włosy były naturalnie kręcone i puszyste. Tom przez chwilę przyglądał się jej uważnie.

- Podobają mi się te twoje maleńkie loczki.

- Mogłabym używać elektrycznej lokówki - zaproponowała Susan Lee. - Jak słyszysz, gotowa jestem do wielu ustępstw. A ty? Będziesz czwartym do brydża?

- Może twoja matka ci pomoże. Skoro podłożyła ogień, by wybawić mnie z kłopotu i umożliwić zalecanie się do ciebie, to mogłaby pomóc i tobie usidlić mnie! Powinna grywać z tobą i naszymi sąsiadkami w brydża. Wyobraź tylko sobie mnie plotkującego i poprawiającego podwiązki.

- Kobiety nie plotkują - sprostowała Susan Lee. - Wymieniają tylko informacje.

- Rozmawiają też o skandalach.

- Oczywiście. Nie ma w tym nic złego. Jeśli wie się o różnych skandalach, można tak kształtować własne życie, by samemu ich uniknąć. Można także pomóc tym, którzy mają kłopoty.

- Pomogłabyś ludziom w rozwiązywaniu ich problemów?

- A czemu nie?

- Chyba rzeczywiście jesteś w stanie pomóc ludziom. Wystarczyłoby jedno twoje spojrzenie.

Obrzuciła go takim właśnie spojrzeniem, a on obiema rękami zaczął przyklepywać włosy, jakby chciał zgasić „ogień”, który wznieciło.

Susan Lee starała się nie stracić cierpliwości. Kilka razy westchnęła głęboko.

- Chciałbym całować cię do utraty zmysłów - powiedział.
Tym razem nie wytrzymała.

- Teraz na pewno już nie tylko rodzice, ale i moje rodzeństwo tkwią przyklepieni do szyb.

- To chyba trudno być najstarszą córką.

- Po prostu muszę przecierać szlaki dla młodszych.
Zaczęłam rozumieć Eskimosów.

- Chodzi ci o mróz?

- O przecieranie nowych szlaków.

Tom zrezygnował z kontynuowania tego tematu.

- Pojedziesz jutro ze mną odwiedzić psa? - zaproponował.

- Chętnie. Dziękuję za zaproszenie - powiedziała, otwierając drzwi.

Tom nie ruszał się z miejsca.

- Koło ósmej?

- O ósmej? - zdziwiła się. - Rano?

- Tak.

- Jutro niedziela. Muszę iść do kościoła.

- Dlaczego? - Bo po prostu zawsze chodzimy na niedzielne nabożeństwo.

- A kiedy będziesz mogła pojechać ze mną?

- Przyjeźdź może jutro koło południa na obiad i potem odwiedzimy psa.

- Obiad. Garnitur. - Tom przez chwile poważnie się zastanawiał. - Dobrze.

Pochylił się do przodu i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Susan Lee wysiadła w końcu z auta i przez ramię rzuciła mu to swoje ogniste spojrzenie, a on znowu chwycił się za głowę, jakby tłumiał płomień tłący mu się we włosach.

Kiedy zatrzasnęła drzwi, ruszył ostro do przodu i z piskiem opon wjechał na drogę. Widać było, że się popisuje.

Susan Lee westchnęła głęboko i weszła do domu, gotowa wysłuchać komentarzy rodziny.

- Nie wiem, czy nasza mała jest bezpieczna z człowiekiem, który jeździ w ten sposób - mówił właśnie jej ojciec.

- On tylko chciał coś w ten sposób podkreślić - powiedziała spokojnie Susan Lee.

Nic im jednak nie wyjaśniła, tylko poszła od razu do siebie na górę.

Po niedzielnym obiedzie nikt się właściwie nie zdziwił, kiedy Tom szybko pomógł w zmywaniu, a potem od razu poprowadził Susan Lee ku drzwiom. Wtedy stało się to, czego prawdę mówiąc oczekiwał.

- Wiesz, obiecałam chłopcom, że zabierzecie ich ze sobą, żeby zobaczyli tego psa - powiedziała pani McCrea.

Nawet Tom zrozumiał wszystko aż za dobrze. Spojrzał na chłopców, ośmiolatka i dwunastolatka, potem na Susan Lee. Wyglądała tak, jakby słowa matki ją zaskoczyły. Uznał, że znieśie wszystko, by tylko być z nią. Wszystko.

- Biegnijcie się przebrać - powiedział.

Błyskawicznie na schodach rozległ się tupot chłopięcych stóp i trzaskanie drzwi na górze. Susan Lee wolnym krokiem podążyła za nimi.

Po sekundzie chłopcy byli już z powrotem i pobiegli prosto do auta Toma.

Ubraną w dzinsy Susan Lee Tom poprowadził do samochodu. Chłopcom kazał usiąść z tyłu, a ją posadził z

przodu na fotelu obok kierowcy. Obszedł auto i usiadł za kierownicą.

Po drodze do Petersonów przez cały czas wyjaśniał chłopcom budowę silnika samochodu i zasady jego działania.

Bardzo się do tego przykładał. Raz nawet zatrzymał auto i podniósł maskę, żeby lepiej zrozumieli.

W domu przebrał się w dżinsy. Namówił na wycieczkę dwójkę małych Petersonów, co zwolniło go od odgrywania roli gospodarza. Po drodze musiał się jednak zatrzymać i przywołać całą czwórkę do porządku.

Pies był na wzgórzu. Tom kazał chłopcom zostać w aucie i zachowywać się cicho. Tak naprawdę zrozumieli, o co chodzi, dopiero wtedy, kiedy Susan Lee wzięła strzelbę i odbezpieczyła ją.

- Wczoraj coś ukrywało się na szczycie - wyjaśniła. -
Mieście oczy otwarte.

Jej słowa jeszcze bardziej ich podekscytowały. Tom uzupełnił zapas jedzenia i dodał wielką kość z niedzielnej pieczeni państwa McCrea. Nalał też wody do miski, która kiedyś była dekletem od jego auta. Potem usunął się i czekał, aż pies zdecyduje się podejść i powąchać kość.

Pies zbliżył się do jedzenia.

Susan Lee kazała chłopcom milczeć i zagroziła, że w przeciwnym razie oberwie im uszy.

Milczeli. Znali takie wydawane cichym głosem polecenia kobiety.

Tom mówił coś do psa, a ten słuchał. Spoglądał to na niego, to na auto.

- Temu psu przydałby się jakiś chłopiec do zabawy -
szepnął jeden z braci Susan Lee. - Chce, żebyśmy wysiedli z
auta.

- Zdaje się, że was ostrzegałam - syknęła złowieszczo
Susan Lee.

- Tak jest.

W aucie zapadła cisza. Chłopcy siedzieli w milczeniu, z trudem powstrzymując ciekawość. Oczy mieli jak spodki.

Tom podszedł bliżej i stanął tuż obok psa. Zwierzę znieruchomiało. W napięciu obserwowało mężczyznę.

Tom poruszył się lekko, zrobił krok do tyłu, potem do przodu. Pies trwał nieruchomo. Nie przestraszył się ruchów Toma.

W końcu Tom wlał jeszcze trochę wody do miski i wrócił do auta. Pies towarzyszył mu do połowy drogi.

Jeden z Petersonów chciał gwizdnąć, ale uciszyło go groźne spojrzenie Susan Lee.

Było to czymś wyjątkowym, bo mali Petersonowie w zasadzie nie znali dyscypliny. Z rzadka tylko Geo mówił im, że są niezdolni.

Tom wśliznął się za kierownicę. Cała szóstka siedziała w milczeniu i obserwowała przyglądającego się im psa. - On chce tu wejść - szepnął któryś z chłopców. - Mogę otworzyć mu drzwi?

- Nie - odparł surowym tonem Tom.

Na tylnym siedzeniu znowu zapanowała cisza.

To w tej właśnie chwili Susan Lee postanowiła, że wyjdzie za Toma. Zauważyła, że wie, jak radzić sobie z dziećmi. Objął im działanie silnika i był bardzo cierpliwy. Kiedy trzeba, potrafi też być twardy i zdecydowany. Popatrzyła na niego, a kiedy poczuł na sobie jej wzrok, spojrzał na nią i uśmiechnął się.

To wtedy zrozumiał, że odniósł sukces.

Trzeba tylko poczekać do momentu, kiedy jej rodzina zda sobie sprawę, iż to nieuniknione, i przyzwyczai się do faktu, że ich najstarsza córka opuści rodzinne gniazdo.

Spojrzał na nią znowu, aż poczuła jakiś dziwny ucisk w żołądku. Otrzeźwiło ją to jednocześnie i uspokoiło. Tom włączył silnik i wjechał na szosę.

- Odwróćcie się - rzekł do chłopców. - Pies wyszedł na drogę.

Chłopcy byli zachwyceni, że nareszcie wolno im ruszać się i mówić, więc w stu procentach wykorzystali sytuację. Byli bardzo podekscytowani.

Susan Lee odpięła pas i uklękła na siedzeniu.

- Przesuńcie się! Ja też chcę zobaczyć. Chłopcy ścieśnili się i Susan Lee zobaczyła psa stojącego na skraju szosy.

- Zawróćmy i zobaczymy, czy wsiądzie do samochodu - zaproponował któryś z malców.

- Nie mamy miejsca - odparł Tom.

- Mogę usiąść na podłodze - zaoferował się dwunastoletni McCrea.

- Za bardzo hałasujecie - stwierdził Tom. - Uspokójcie się.

Ich wrzaski zmniejszyły się o jakieś dwanaście decybeli.

Od tego czasu Susan Lee i Tom rzadko mieli okazję być ze sobą sam na sam. Tylko we wtorki i czwartki Tom odwoził ją ze szpitala, a i tak państwo McCrea czekali na powrót córki z zegarkiem w ręku.

Za każdym razem, kiedy planowali jakieś wyjście, proponowano im towarzystwo kogoś pod tak sprytnie wymyślonym pretekstem, że nawet nie podejrzewali, iż może to być przyzwoitka.

Tom zawsze miał przy sobie aparat, robił mnóstwo zdjęć i sprzedawał je. Finansowo nie był to więc czas stracony.

Szczególnie irytujący był wrogi, lecz pełen zadowolenia wyraz twarzy Gartha. Pippins wiedział, że para zakochanych nigdy nie jest ze sobą sam na sam, i był pewien, że czas

pracuje na jego korzyść. Susan Lee zmęczy się Tomem i wróci do Gartha Pippinsa, odpowiedzialnego farmera.

To zadziwiające, ile spraw Susan Lee musiała załatwiać, a które zawsze wymagały obecności trzeciej osoby w aucie Toma. Albo znajdowali się jacyś ludzie, których trzeba było gdzieś podwieźć. Niesamowite, jak często to się zdarzało.

Jednak Tom, choć już był Teksaszczykiem z ośmioletnim stażem, nie zapomniał o swoich korzeniach.

Któregoś razu towarzyszyła im cała banda przyzwoitek. Najpierw odwieźli członków rodziny McCrea, potem Petersonów i - co za niespodzianka - nagle znaleźli się sami, w zaciszu auta.

Tom spojrzał na Susan Lee ze zdziwieniem i oboje wybuchnęli śmiechem. - Znam takie jedno miejsce, którym będziesz zachwycona - powiedział.

- Jakie?

- Zobaczysz.

Jechał z większym pośpiechem niż ostatnio. Po pewnym czasie zatrzymał się przed jakąś, wyraźnie od lat opuszczoną, stodołą.

Wysiadł z auta, otworzył drzwi i wyciągnął rękę.

- Chodź ze mną. Chcę ci pokazać raj.

- W tej starej stodole?

- Kupimy tę ziemię, a stodołę wyremontujemy. Tak bardzo cię pragnę, że chyba zaraz umrę.

- Tutaj?

- Za chwilę padnę martwy do twoich stóp. Roześmiała się tak uroczo, że przepadł na wieki.

- Jak ja cię kocham... - rzekł.

- No, właśnie, jak? - zażartowała.

- O, Susan Lee, aż cały drzę.

Dziewczyna spojrzała na zrujnowaną stodołę. Na niebie błyszczał srebrny rogalik księżycyca i miliardy gwiazd, które

rzucały światło na tę piękną, teksańską ziemię i sprawiały, że wyglądała jak cud, stworzony przez światło i cień.

- Popatrz, ile gwiazd - rzekł Tom. - Wypowiedz jakieś życzenie.

- Wstydzę się.

- Nie ma powodu. Będziemy to robić zawsze i zawsze, aż do skończenia świata.

Susan Lee rozejrzała się dokoła.

- Nie chcę, by tak piękna planeta kiedykolwiek przestała istnieć. Zwierzęta powinny żyć tu swobodnie i szczęśliwie, nawet jeśli my, ludzie, nie przetrwamy.

- I planeta przetrwa, i my przetrwamy - uspokoił ją Tom. - Jak możesz być tego taki pewny?

- Jest taka wyjątkowa, że musi przetrwać. Jest doskonała. Tak jak ty. O, moja ukochana - szepnął, przyciągnął Susan do siebie i pocałował.

- To miejsce czekało na nas od dnia, kiedy po raz pierwszy odprowadziłem cię na ten parking przed szpitalem - wyjaśnił.

- Uważałeś mnie za łatwą zdobycz? - zapytała z lekkim oburzeniem.

- No... prawdę mówiąc, myślałem, że uda mi się częściej przebywać z tobą sam na sam. Jak zauważyłaś, ostatnio mieliśmy zawsze wokół siebie tłumy ludzi.

- Kochasz mnie?

- Czy nie mówiłem ci tego już chyba sto razy?

- Te dzieciaki na tylnym siedzeniu musiały zagłuszyć twoje słowa.

- Kocham cię. Chcę się z tobą ożenić i będziemy żyli długo i szczęśliwie. Mój brat Rod z Indiany jest bardzo szczęśliwy ze swoją żoną. Pozostali też, ale on szczególnie. Nasze wspólne życie też będzie takie, jak jego.

- Skąd wiesz?

- Wiem.

Trzymał ją w objęciach i całował, a ona czuła, że mózg jej wiruje. Przestała stawiać opór. Oddychała ciężko, wbijała paznokcie w ramiona Toma i wydawała ciche, pełne pożądania westchnienia. Rozebrał ją i patrzył, jak światło gwiazd oblewa srebrnym blaskiem jej ciało. Był zachwycony i prawie żałował, że nie ma aparatu. Susan Lee wstydziła się nagości i nawet w tak nikłym świetle widać było, że się rumieni. W jej zachowaniu nie było jednak śladu wahania. Pomogła mu zdjąć ubranie i, w odróżnieniu od jej własnego, które leżało w nieładzie na ziemi, złożyła je bardzo porządnie.

Wskazał jej posłanie, które znajdowało się w rogu stodoły. Wsunął się do niego pierwszy, a ona ochoczo podążyła za nim.

Leżały tam grube koce, poduszki i... kot, który sykiem powitał intruzów.

- Przykro mi, przyjacielu - rzekł Tom. - Na razie musisz się zmyć.

Prychając gniewnie, kot spełnił jego rozkaz. Dla niego to oni byli intruzami.

Susan Lee spodziewała się, że Tom od razu zabierze się do rzeczy. Wiedziała, jak długo czekał na tę chwilę. Czytała całkiem niezłą książkę na temat seksu i mniej więcej domyślała się, jak to się odbędzie.

Tom jednak ją zaskoczył. Był opanowany i cierpliwy. Całował ją i pieścił, wydawał pełne zachwyty westchnienia.

Blask gwiazd i księżycy docierający do wnętrza przez dziurawy dach pozwalał im się wzajemnie widzieć. Susan Lee była bardzo zakłopotana. Skąd kobieta może wiedzieć, czego spodziewa się po niej mężczyzna? Wydawało jej się, że ma za małe piersi i Tom będzie zawiedziony.

Jego dłonie właśnie zaczęły je pieścić. Jęknął z zachwytem i pochylił się, by je całować. Potem zaczął okrywać pocałunkami całe jej ciało, aż do stóp.

Dziewczyna nieśmiało spoglądała na jego podbrzusze i dziwiła się, widząc rozmiary jego członka. Widywała swych braci nago, ale członek Toma wydawał jej się ogromny. Była pewna, że do niczego między nimi nie dojdzie. To przecież niemożliwe.

Tom nie okazywał zniecierpliwienia. Leżał obok i pieścił jej brzuch, piersi i uda.

Całował delikatnie całe jej ciało. Zaczęła się pocić.

- Możesz zaczynać - powiedziała.

- To nie jest coś, co trzeba jak najszybciej mieć za sobą. To coś wspaniałego. Nie spieszmy się, lecz cieszymy się tym, co jest przedtem.

- Co mam robić?

- Mogłabyś pogłaskać moje uda. Spełniła jego prośbę.

- Są owłosione.

- Ogolę je.

- Nie! Lubię owłosione uda.

- Skąd wiesz?

- Widywałam je już wcześniej.

- Kiedy? - zapytał zaniepokojony Tom. - Głaskałaś uda Gartha?

- A są owłosione? Skąd wiesz?

- Nie wiem, ale, co ciekawsze, ty też nie.

- Nigdy nie głaskałam ud żadnego mężczyzny. Lubisz to?

- Taaa. Trochę wyżej.

- Dlaczego o n tak skacze? - zachichotała.

- Bo jest szczęśliwy.

Susan Lee zaśmiała się gardłowo.

- Czy on też chce, żeby go pogłaskać?

- O... tak. Ale może lepiej chwilę poczekaj - dodał przytomnie. - Najpierw sprawdź, jak jestem zbudowany -
- Mam przecież braci. Widywałam ich, kiedy byli mali.
- Mężczyźni są trochę inni.
- Widzę.

Zainteresowała go ta odpowiedź.

- Co widzisz?
- Że różnisz się od małego chłopca.
- Będzie pasował - uspokoił ją czule.
- Właśnie się nad tym zastanawiałam.
- I będzie cudownie. - Nawet za pierwszym razem?
- Zrobimy to powolutku i ostrożnie.
- To dobrze - ucieszyła się Susan Lee i odprężyła. Kochali się więc i była tym zachwycona. Mruczała, wydawała całą serię westchnień i ocierała się kolanami i zachęcała go.

Tom nie spieszył się. Jego ruchy, ręce, usta były tak zadziwiająco... delikatne. Był niesamowicie cierpliwy.

Susan Lee zaś niecierpliwiła się coraz bardziej. Napierała na niego piersiami, otwierała przed nim uda, podawała usta do kolejnego pocałunku... i dotykała go delikatnie.

Odetchnął tak głęboko, że przestraszyła się, iż coś go zabolalo. Mruknęła i cofnęła rękę.

- Zrób to jeszcze raz - poprosił i przysunął się jeszcze bliżej.

- Nie bolało?

- Oo, nie.

Susan Lee parsknęła śmiechem. Przyglądała się, jak Tom drżącymi rękami próbuje nałożyć prezerwatywę. Potem przyciągnął jej nagą, miękką słodkość do swego twardego, gotowego ciała.

- Dobrze ci? - zapytał.

Dalsze pytania nie były już potrzebne. Susan Lee westchnęła i przywarła do niego.

Ciekawe, czy wie, jak bardzo to jest podniecające, pomyślał. Tulił ją jak coś niesamowicie cennego.

A ona wysunęła się z jego objęć i językiem zaczęła badać jego ciało.

- Dobrze ci? - spytała, spoglądając na niego przez zasłonę splecionych włosów.

- Zaczekaj chwilę.

- Muszę sprawdzić, czy masz czysty pępek.

- Za chwilę.

Nachyliła się znowu, a jego członek uniósł się na powitanie jej piersi.

- Ej, chwileczkę, przyjdzie i twoja kolej! Tego już było za wiele.

- Muszę iść przestawić samochód - powiedział. Susan Lee uniosła głowę i spojrzała w gwiazdy.

- A co, powinniśmy wracać?

- Muszę się uspokoić, bo zaraz eksploduję, jak świąteczne fajerwerki.

- Naprawdę?

- Zaraz wrócę.

Nie bardzo wiedziała, co się dzieje, była jednak zaciekawiona. Przerywał przecież jej wspaniałą przygodę.

Kiedy została sama na posłaniu, usłyszała jakiś odgłos. Kot wrócił na swoje miejsce i przyglądał jej się uważnie.

- Uczysz się czegoś nowego? - spytała. Kot patrzył na nią sowimi oczami.

- Domyślam się, jak bardzo musi cię dziwić to, co tu widzisz. Pewnie tak samo, jak mnie.

- Z kim rozmawiasz? - zapytał Tom, stając w drzwiach stodoły.

- Z kotem.

- Nie zaprzyjaźniaj się z nim. Z psem jakoś sobie poradzę, ale kocica na dodatek to już za wiele.

- Wobec tego powinieneś dyskretniej się zachowywać. Robisz ze mną takie rzeczy, że kocica nie wytrzyma i rzuci się na pierwszego kota, który stanie na jej drodze.

- Nigdy nie wiadomo, jakie będą konsekwencje naszego zachowania.

- Ochłonałeś trochę?

- Nie bardzo. A ty? - Wytrzymam jeszcze trochę, w każdym razie do chwili, kiedy naprawdę będziesz mnie chciał.

- A więc na co czekamy?

- Pobawmy się jeszcze trochę.

Nachyliła się i położyła mu ręce na ramionach.

- Pokaż, jak będziemy się bawić.

- Może tak... I tak...

- Wspaniale! - westchnęła.

- A to? Przyjemnie?

Kolejne długie, długie westchnienie. Zsunął dłoń i rozchylił jej uda. Bardzo mu w tym pomagała.

Susan Lee jęczała. Tom oddychał głośno.

Jego ruchy nabrały pewności i zdecydowania. Dziewczyna wiła się z rozkoszy.

W końcu uniósł się i wsunął w nią delikatnie. Zawahał się, ale ona zapraszająco uniosła się ku niemu.

Począł, aż przyjmie go całego, opadł wolniutko i znieruchomiał. Musiał się uspokoić.

- Najdroższa...

- Kochany...

- Najdroższa...

- Proszę!

Spełnił jej prośbę. Razem udali się w krainę cudów. Kiedy w pewnej chwili otworzyła oczy, napotkała surowe spojrzenie kotki i wybuchnęła śmiechem. Później długo leżeli wyczerpani i nieruchomi.

- Śmiałaś się? - zapytał, kiedy nareszcie ochłonał.

- Czy to było niegrzeczne?

- Nie. Ale nigdy jeszcze nie słyszałem o kobiecie, która śmieje się w takiej chwili. Dziwna jesteś.

- Kot na nas patrzył.

Wtedy i on wybuchnął śmiechem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Ostrzegałem cię, że cię zdobędę - rzekł w pewnej chwili Tom.

- Myślałam, że chciałeś to zrobić dopiero po ślubie - odparła z rozbawieniem Susan Lee.

- Gdybym czekał tak długo, byłbym już tylko własnym cieniem. Po ślubie musiałabyś czekać wieki, zanim byłbym do czegokolwiek zdolny. Stałoby się to tak męczące, że powinnaś mi być wdzięczna, iż oszczędziłem ci tych cierpień.

Susan Lee parsknęła śmiechem.

- Byłam bardzo ostrożna. Staralam się cię nie kusić.

- Wzdychałaś.

- Czy wzdychanie może prowokować?

- Twoje tak.

Pocałował ją, ale inaczej. Delikatnie i z miłością.

- Och, Tom - szepnęła wzruszona.

Później rozmawiali o tym, jakie zrobili na sobie wrażenie przy pierwszym spotkaniu. Tom opowiedział jej, jaki był wściekły, kiedy nawet nie chciała na niego spojrzeć.

- Nie chciałam być kolejnym numerem w rejestrze twoich zdobyczy.

- Podejrzewałaś niewinnego, uczciwego Teksasńczyka o coś takiego?

Ich śmiech zlał się w jedno. Byli tacy swobodni i szczęśliwi. Susan Lee położyła się na brzuchu, oparła na łokciach i skupiła na sobie całą uwagę Toma. Absorbowała go już i przedtem, ale teraz szczególnie.

Flirtowała z nim, choć zupełnie niepotrzebnie. A on patrzył zachwycony, uśmiechał się i pieścił ją wzrokiem. Wyciągnął rękę i pogładził dziewczynę po głowie. Jego palce niezdarnie wplątały się w jej włosy. Nie był zbyt wprawny w takich intymnych pieścizotach.

- Muszę wracać do domu - powiedziała z ociąganiem Susan Lee. - Upłynęło już mnóstwo czasu, od kiedy odwieźliśmy dzieciaki Petersonów.

- Taak - zgodził się Tom, ale nadal leżał bez ruchu. Susan Lee przetoczyła się na plecy i przeciągnęła. Musiał aż unieść się na łokciu, żeby to zobaczyć. Wsunęła mu palce we włosy i pociągnęła za nie.

Chciała go pocałować i zawstydziła się własnej śmiałości. Od słowa do słowa, znowu zaczęli się kochać. Zupełnie inaczej niż za pierwszym razem - delikatnie, czule, po prostu inaczej.

Ich ruchy były wolniejsze. Susan Lee nie słyszała niczego, co działo się wokół, ale Tom od czasu do czasu nasłuchiwał i rozglądał się bacznie.

Osiągnęli cudowne, jednoczesne spełnienie. Potem leżeli obok siebie i uśmiechali się. Było to przeżycie innego rodzaju.

Tom pomógł Susan Lee się ubrać, ale jego ruchy były bardzo nieuważne. Czyżby celowo?

- Nie panujesz nad swoimi rękami - zauważyła ze śmiechem.

Ubrał się błyskawicznie. Wyglądał cudownie. Jak groźny rozbójnik o błękitnych oczach.

Niechętnie szli do auta. Tom wziął Susan Lee jeszcze raz w objęcia i pocałował. Nie chciał się z nią rozstawać.

- Pojedź ze mną do domu - rzekł, siadając za kierownicą.
- Przecież wybuchnie skandal. Co na to powiedzą Petersonowie?

- Geo powie, że jesteśmy nieznośni. A Mim przełoży niemowlę na drugie ramię, żeby zwrócić naszą uwagę na to, co dzieje się, kiedy mężczyzna i kobieta zbyt do siebie zbliżą.

- To mogłoby nas trochę otrzeźwić.

- Teraz, kiedy zabrałaś mi dziewictwo, i tak musisz za mnie wyjść.

Susan Lee pozwoliła sobie na wybuch śmiechu. Tom był oburzony.

- Ty upadła kobieto! Jak możesz wyśmiewać moją utraconą niewinność.

Susan Lee położyła głowę na oparciu fotela i patrzyła na niego z rozmarzeniem.

On też co chwila na nią spoglądał. Dzięki Bogu, ruch na szosie był niewielki.

- Jesteś podobna do syreny - powiedział.

- Bo mam piskliwy głos?

- Bo potrafiłabyś zgubić wielu żeglarzy.

- Nigdy w życiu bym tego nie zrobiła.

Tom nagle odwrócił głowę i spojrzał do tyłu. Zwolnił i popatrzył w boczne lustro, potem przerzucił ramię przez oparcie fotela i wyjrzał przez tylne okno.

- Co się dzieje?

- Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że tam z tyłu stoi samochód Gartha.

- Co by tu robił?

- Może wybrał się na przejażdżkę albo też szuka mnie.

- Musiałeś się pomylić.

- Może - zgodził się Tom, ale nadal patrzył w lustro.

Odwiózł Susan Lee do domu bez przeszkód, ale potem nie mogli się rozstać. Kiedy w końcu odprowadził ją na werandę, usiadł na huśtawce, a ona nie była w stanie zostawić go i wejść do środka.

Matka już spała, więc kiedy Tom w końcu odjechał, Susan Lee niezauważona wśliznęła się do domu. Usnęła snem kobiety szczęśliwej.

- O której wczoraj wróciłaś? - zapytał ją nazajutrz ojciec. Było to bardziej zagajenie niż pytanie.

- Nie patrzyłam na zegar. Widzieliśmy po drodze zaparkowane auto Gartha Pippinsa. Czy chodzi z kimś, kogo znam? Nie mogłam w to uwierzyć. To zupełnie do niego nie pasuje.

- A do Toma tak? - zainteresował się ojciec.

- Oczywiście, że nie.

Matka jednak przyglądała się, jak Susan Lee w zamyśleniu wygląda przez okno, jak chodzi po domu, machinalnie dotykając różnych przedmiotów, i zupełnie nie zwraca na to uwagi. Jak przeciąga się zmysłowo i uśmiecha sama do siebie.

- Pobiorą się ~ powiedziała wieczorem do męża.

- Niech tylko spróbują tego nie zrobić - odparł.

Tom zabrał Susan Lee do Fullerów, żeby poznała Connie, żonę Tweeda. Janella McCrea nie potrafiła tym razem wymyślić żadnego pretekstu, pojechali więc bez przyzwoitki.

Sam był zachwycony gośćmi, a Jake przygotował im wspaniałe jedzenie. Zakochani nawet tego nie zauważyli i Tweed musiał im przypomnieć, żeby pochwalili kucharza. Obejrzelili werandę wbudowaną w dąb rosnący niedaleko domu. Connie powiedziała im, że w lecie planują tam wielką zabawę.

- Obiecujcie, że przyjedziecie.

Oglądali właśnie jakiś wąwóz, kiedy na horyzoncie zaczęły zbierać się potężne burzowe chmury. Mogli jeszcze wrócić do domu, ale Tom zwlekał i złapała ich ulewa.

Tak jak się spodziewał, przemokli do suchej nitki. Musieli wrócić na ranczo i wysuszyć ubrania. Tymczasem ulewa przerwała most łączący posiadłość z szosą i na kilka dni ugrzęźli u Sama.

Connie pożyczyła Susan Lee ubranie, Tom skorzystał z ubrań Tweeda. To właśnie wtenczas, kiedy wybierali rzeczy dla Toma, Tweed zapytał, czy będzie potrzebował prezerwatyw.

- Wiesz co, Tweed, ty naprawdę jesteś niemożliwy! - roześmiał się Tom i poklepał brata po ramieniu.

- Mężczyzna nigdy nie wie, co robi kobieta, i zawsze powinien być zabezpieczony - rzekł Tweed.

- Wiedziałem już o tym, siedząc na kolanach Salty'ego.

- Więc jesteś przygotowany?

- Jasne. Mamy zamiar się pobrać, kiedy tylko jej starzy uświadomią sobie, że ich córka jest już wystarczająco dorosła.

- Susan Lee jest rzeczywiście wyjątkowa.

- Taak. I to mnie przeraża.

- Czemu?

- Nie mogę uwierzyć we własne szczęście.

- Powiedz jej to przy jakiejś okazji.

- Do tej pory się nie odważyłem. Jeszcze wciąż się staram, żeby poczuła, że to ona ma szczęście.

- Chciałbym być taki młody i pewny siebie - roześmiał się Tweed.

- Jest pewien facet, który kwestionuje moje prawa.

- Potrzebujesz pomocy?

- W razie czego zagwiżdżę.

- Możesz na mnie liczyć. Telefony też przestały działać, ale takie odludne miejsca mają zazwyczaj CB radio. Połączyli się więc z rodzicami Susan Lee i poinformowali ich, że utknęli u Sama Fullera z bratem Toma i jego żoną. Ta ostatnia informacja przeznaczona była dla ewentualnych wścibskich podsłuchujących. Susan Lee wyraziła też żal, że nie stawi się na swój dyżur w szpitalu.

Czworo młodych ludzi wraz z Samem bardzo miło spędziło czas. Opowiadali sobie różne historie i oglądali obrazy, które namalowała zmarła żona Sama.

Pokoje gościnne znajdowały się na górze, jeden tuż obok drugiego. Ledwo w domu zgasły światła, nagi Tom już znalazł się w łóżku Susan Lee.

Dziewczyna okazała oczywiście pełne oburzenia zdziwienie, ale roześmiała się i tym samym rozwiała wszelkie wątpliwości Toma. Wkrótce i ona była naga i Tom mógł jej udowodnić, jak to miło kochać się w łóżku.

Powiedziała, że brakuje jej kota.

W ciągu tych kilku dni Susan Lee dowiedziała się także, co to znaczy kochać się w stodole na sianie, kiedy po dachu dudnią krople deszczu. Uświadomiła sobie, ile odmian ma też samo kochanie się. Miała nadzieję, że będą żyć na tyle długo, by poznać je wszystkie.

Leżąc w ramionach swego śpiącego kochanka, poczuła pewność, że Tom nigdy nie będzie okrutny. Zbyt wiele miała dowodów jego delikatności, nie tylko w stosunku do niej, ale i do innych.

Rzeczywiście nigdy jeszcze nie widziała go rozzłoszczonego. Jak by się zachował, gdyby naprawdę był wściekły?

Zasnęła myśląc, jak wiele cierpliwości okazywał w stosunku do psa, jak spokojnie znosił obecność tabunów przyzwoitek i jak delikatny był wobec niej.

Po kilku dniach wody opadły, most naprawiono i Tom z Susan Lee pożegnali swych gościnnych gospodarzy.

- Trudno mi będzie teraz sypiać samej - powiedziała już w samochodzie Susan Lee.

Tom oczywiście musiał się zatrzymać i pocałować ją. Kiedy w końcu odwiózł ją do domu, jej matka obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

- Twoja szwagierka wydaje się bardzo sympatyczna - powiedziała. - Pamiętam, kiedy twój brat ją znalazł.

- Nie miała przedtem łatwego życia.

- Jak się teraz miewa?

- To silna kobieta, a Tweed to naprawdę dobry człowiek.

- Lubisz Tweeda - uśmiechnęła się Janella. Tom skinął głową.

- I Connie - dodał. - To bardzo porządni ludzie. Sam Fuller zresztą też.

Tym razem skinęła głową Janella.

- Dlaczego nie przywieźliście ze sobą tego deszczu? - zapytała. - Zatrzymał się jakieś dwadzieścia kilometrów na północ stąd.

- O, kurczę, nawet nam to nie przyszło do głowy. Następnym razem sprawimy się lepiej.

A potem, w obecności przyszłej teściowej, Tom nachylił się i pocałował jej córkę. Uśmiechnął się do niej, a ona oblała się rumieńcem.

- Niedługo wrócę - poinformował Tom Janellę.

- Wcale mnie to nie dziwi.

- Musimy sprawdzić, co dzieje się z psem - wyjaśnił. - Zostawiam tu Susan Lee tylko po to, żeby się przebrała.

- Brice chodzi tam codziennie i napełnia dekiel. Tylko raz widział psa. Znowu chowa się w krzakach.

Tom kiwnął głową.

- To bardzo uprzejmie ze strony pana McCrea. Proszę mu podziękować.

- Podziękuję.

- Zaraz wracam - rzekł Tom, spoglądając na Susan Lee.

- Będę gotowa.

Tom uniósł kapelusz, spojrział w kierunku pani McCrea i ruszył do auta.

- Czy zachowywał się przyzwoicie? - zapytała pani McCrea córkę.

- Idealnie.

Susan Lee weszła do domu, a pani McCrea jeszcze przez chwilę zastanawiała się nad tą odpowiedzią.

Kiedy wrócił Tom, przed dom wyszła tylko Susan Lee. Odjechali sami i byli tak zaskoczeni, że zaczęli o tym rozmawiać dopiero wówczas, kiedy już dojeżdżali na miejsce.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że jesteśmy sami? - spytał Tom.

- Dziwne, co?

Tom uśmiechnął się.

- Czy twoja mama darzy nas zaufaniem, czy może raczej straciła wszelką nadzieję?

- Wolę nie pytać.

Tom, oczywiście, wybuchnął śmiechem i pogłaskał Susan Lee po głowie. Ona wzięła jego dłoń i ucałowała jej wnętrze. Poprosił ją, by była bardziej powściągliwa.

Zjechali z szosy i zaparkowali. Spojrzeli na krzaki i ujrzeli schodzącego z boczem psa. Rozglądał się dokoła, ale wciąż obserwował samochód. Czyżby ich poznał? Właściwie już tylko z przyzwyczajenia Tom podał Susan Lee strzelbę i wysiadł z auta. Rozejrzał się dokoła. Pies był bardzo czujny. Jego ruchy były jakby gwałtowniejsze.

- Pies jest dziś niespokojny - rzekł Tom. - Może puma wróciła. Muszę się pospieszyć.

- Bądź ostrożny.

- Oczywiście, najdroższa. Nie będę ryzykował, bo nie chcę, żebyś straciła ukochanego.

Szedł w sposób umożliwiający Susan Lee celny strzał, gdyby cokolwiek mu zagroziło. Pies zbliżył się do miski. Tom podszedł i zaczął nalewać do niej wodę, przemawiając równocześnie do zwierzęcia.

Pies był rzeczywiście wyjątkowo spięty i niespokojny. Tom był już pewien, że w pobliżu jest puma. To przekonanie niewątpliwie przygotowało go na to, co nastąpiło.

Krzaki rozchyliły się i na drogę wypadł parskający i kwiczący odyniec! Tom był przerażony.

Żółty pies ruszył mu na odsiecz i zaczął groźnie szczekać, ale odyniec zmierzał prosto na Toma!

Pies podbiegł do niego, szarpał go za futro i warcząc, na moment odwrócił uwagę dzika od Toma.

Tom rzucił się pędem w stronę auta. W tej samej chwili Susan Lee strzeliła. Huk był przerażający.

Susan Lee nie przestawała strzelać i nie mogła ani otworzyć drzwi, ani włożyć kluczyka do stacyjki, by uruchomić otwieranie okien.

Tom wskoczył na maskę, a potem na dach auta. Dzik pobiegł za nim i zatrzymał się przy samochodzie, chrząkając gniewnie. Kiedy zorientował się, że mężczyzna mu się wymknął, odwrócił się i ruszył za psem. Ten błyskawicznie przebiegł przez szosę, szukając ocalenia w gęstwinie krzaków. Dzik, kwicząc i pochrząkując, ruszył za nim. Nadjeżdżające auto listonosza zahamowało gwałtownie. Tom i Susan Lee odetchnęli z ulgą, kiedy kurz opadł i zobaczyli, że psu udało się uciec.

Dzik miał mniej szczęścia. Uderzony przez auto padł na drogę. Tom błyskawicznie zeskoczył z maski, wziął strzelbę z rąk Susan Lee i dobił miotające się w konwulsjach zwierzę.

- O, rany! Co się dzieje? - krzyknął pan Tiller, listonosz, wysiadając z samochodu.

Pies wrócił, zadziwiająco spokojny. Zachowywał się jak współuczestnik zwycięskiej walki. Przechadzał się wyniośle, sprawdzał, czy wszystko w porządku, i poszczekiwał na ociekającego krwią dzika.

Pan Tiller trzymał się blisko auta.

- Na pewno nie żyje? - zapytał niepewnie. - Skąd on się tu, do cholery, wziął? Czy to ty, Tom? Skąd masz tego psa?

- Ostrożnie - odparł Tom. - Trzeba sprawdzić, czy naprawdę go załatwiliśmy. Siad! - krzyknął do psa.

Pies bez wahania wykonał rozkaz. Tom położył mu rękę na głowie. Po raz pierwszy go dotykał. Pies był bardzo z siebie dumny i radością poddał się pieszczocie.

- To dlatego byłeś taki niespokojny, kiedy przyjechaliśmy. Wiedziałeś, że ten dzik jest w pobliżu? - rzekł cicho Tom.

Pies szczechnął, jakby odpowiadał na zadane pytanie.

Tom podszedł do dzika i dla pewności strzelił mu prosto w głowę. Dziki tak łatwo nie giną. Czasem wydaje się, że są już martwe, a one nagle zrywają się ostatkiem sił i atakują. Każdy doświadczony myśliwy upewnia się kilkakrotnie, czy upolowane przez niego zwierzę naprawdę nie żyje.

- Zabiłeś go? - spytał pan Tiller, bardzo ostrożnie podchodząc bliżej.

- Z dzikiem nigdy nic nie wiadomo.

- Taak. Też o tym słyszałem. Skąd on się tu wziął?

- Nie mam pojęcia - odparł Tom.

- Słyszałem o stadzie, które błąka się jakieś trzydzieści kilometrów stąd, w starym wąwozie na farmie Butlerów. Ale skąd ten odyniec wziął się tutaj?

- Mnie też to dziwi.

- Może wypadł z jakiejś ciężarówki? Bo jak inaczej by się tu dostał?

- Nie wiem.

- Lepiej uważaj, Tom. Może ściągnął za sobą i lochy - przestrzegł go Tiller.

- Tak, masz rację. Susan Lee, nie wysiadaj z auta.

- To twój pies? - spytał Tiller. - Bardzo piękny. Nie wiedziałem, że Geo ma takiego psa.

- Bo nie ma - odparł Tom. - Wygląda na to, że się zgubił i zdziczał. Przychodzę tu od pewnego czasu i daję mu pić.

- No to miałeś szczęście. Bez niego nie dałbyś sobie rady - rzekł z przekonaniem Tiller.

- To prawda - przyznał Tom. - Muszę się jeszcze rozejrzeć. Zostań w samochodzie - zwrócił się do Susan Lee.

- Pomogę ci - zaoferował pan Tiller. - Wezmę tylko strzelbę i przestawię auto.

- A ja ściągnę z drogi te zwłoki.

- Pomogę ci. To kawał zwierza.

Przeciągnęli odyńca na pobocze i weszli w las. Susan Lee była wściekła. Tom nie powinien się tak narażać. Trzeba wezwać ludzi z psami. To teren Fuquayów. Na pewno chętnie pomogą w poszukiwaniach. Dlaczego Tom nie wezwie pomocy? Cóż za bezmyślny człowiek!

Zaskoczyły ją własne uczucia. Nie przypuszczała, że postępowanie Toma tak ją zdenerwuje. Zachowywał się jak prawdziwy myśliwy, a tego się po nim nie spodziewała. Do tej pory traktowała go jak ekscentrycznego mieszczucha.

Siedziała w aucie i czuła narastający ból głowy.

Po chwili mężczyźni wrócili, oczywiście wraz z psem. Tom wylał resztę wody, przyklęknął obok auta i z wyraźną satysfakcją umocował dekiel na właściwym miejscu.

Potem otworzył drzwi, a pies bez wahania wskoczył do środka i ułożył się na siedzeniu. Czyżby między nim a Tomem nawiązała się przyjaźń?

Tom następnie otworzył bagażnik i wraz z panem Tillerem wrzucili do niego martwego dzika.

Obejrzelili też auto listonosza i wgniecenia, które powstały w wyniku zderzenia z potężnym zwierzęciem. Porozmawiali chwilę, potem Tiller wsiadł do samochodu i odjechał.

- Dobrze się czujesz? - zwrócił się Tom do Susan Lee, siadając za kierownicą.

Spojrzała na niego chłodno. Udawał, że nie zauważa jej wrogości, i gorliwie zapinał pas.

- Jeszcze nigdy nie miałem takiej wspaniałej osłony - powiedział. - Dzięki. Czy przypuszczałaś kiedyś, że ten pies znajdzie się z nami w aucie i wcale nie będzie chciał uciec?

Jakie to denerwujące, że mężczyzna zawsze potrafi wciągnąć kobietę w rozmowę, na którą nie ma ochoty.

- W ogóle nie mogę w to wszystko uwierzyć - odparła. - Ale się najadłem strachu!

- Miałam zamiar wysiąść z auta, żeby ci pomóc - przyznała.

- Gdybyś rzeczywiście wysiadła, umarłbym na atak serca. Kiedy każę ci gdzieś zostać, musisz mnie słuchać.

Spojrzała na niego ze złością. Nikt nigdy nie mówił jej, co ma robić. Sama odpowiada za siebie.

- Dobrze się czujesz? - spytał i pogładził ją po twarzy.

- Oczywiście.

- Gdyby te krzaki były wyższe, nie musiałbym wskakiwać na dach. Przeraziłem się, że ten cholerny dzik spróbuje wdrzeć się do auta. Nie mogłaś przecież zamknąć okien, bo silnik był wyłączony.

- Wepchnęłabym mu lufę wprost do gardła i strzeliła.

- No, no.

Pojechali do Petersonów, by pozbyć się dzika. Pies zaś miał okazję zapoznać się z psami Geo. Prawdziwy był z niego dżentelmen. Stał nieruchomo i pozwolił się obwąchiwać. Psy szybko przestały na niego warczeć, uspokoiły się i merdały ogonami.

Geo dobrze wiedział, co zrobić z dzikiem. Rozciął go i powiesił, żeby spłynęła krew. Napełniono wodą czajniki i postawiono je na ogniu. Mim zadzwoniła do sąsiadów i zaprosiła ich na ucztę.

Zaproszono także państwa McCrea, jako że wkrótce mieli stać się rodziną Toma.

Zaproszeni zostali także Pippinsowie.

Choć miejscowe psy go zaakceptowały, Żółty cały czas trzymał się Toma. Obserwował wszystkich, a co dziwne, szczególnie uważnie Gartha. Kiedy Garth wyciągnął do niego rękę, zwierzę uciekło.

- Widziałeś? - spytał Billy. - Psy lubią Gartha.

Geo słyszał tę uwagę.

- Wiem, że uderzył go samochód i potem czołgał się jeszcze po szosie, ale zobaczcie, wygląda na to, że tego dzika ktoś niedawno ciągnął na linie. Popatrzcie na jego szyję - zauważył w pewnej chwili Billy Pippins.

- Prawdę mówiąc, jest bardzo podobny do tego, z którym niedawno mieliśmy kłopoty - dodał Harry Clayburn.

Pan Pippins podszedł bliżej i podniósł głowę zwierzęcia.

- Rzeczywiście podobny - przyznał.

Mężczyźni stali i rozmawiali, a kobiety wzięły się do nakrywania do stołów.

- To twój pies? - zwrócił się któryś z mężczyzn do Toma.

- Nie wiem.

- Chętnie bym go wziął.

- Będę musiał spytać weterynarza, czy ktoś w okolicy nie zgłosił jego zaginięcia. Jeśli nie, to chyba go zatrzymam dla siebie.

- Jak go nazwiesz?

- Najpierw upewnię się, czy będę go mógł zatrzymać. A potem chyba... dam mu na imię... Myśliwy.

Wszyscy uznali, że to ładne imię.

Było to długie popołudnie. Zaproszeni goście jedli świeże potrawy z dzika, śmiali się i rozmawiali.

Pod wieczór rozmowa zeszła znowu na temat dzika. Zastanawiano się, czy to ten sam, który wcześniej pojawił się na terenie Clayburnów. Wszyscy wypowiadali się w tej sprawie, a temat był szczególnie interesujący dla ludzi, którzy

znali się tak dobrze, że nieczęsto mieli sobie coś nowego do powiedzenia.

Jeśli to ten sam dzik, to czemu nagle pojawił się tak daleko od tamtego miejsca?

Clayburn stwierdził, że stado nadal koczuje na jego terenie i nie wyobraża sobie, żeby odyniec mógł je opuścić. Szczególnie o tej porze roku.

Geo zaproponował poszukiwania. Z trudem wybrał kilku mężczyzn, bo większość była tak najedzona, że w ogóle nie chciała o tym słyszeć.

Ale taki już był Geo - w gorącej wodzie kąpany.

Szczególnie zależało mu, by w poszukiwaniach wzięli udział Pippinsowie, ale także Clayburn, Tom i Brice McCrea.

Pełen entuzjazmu Billy Pippins usiadł za kierownicą swego dżipa. Milczący Garth zajął miejsce obok niego. Pan Pippins jechał z Brice'em i Geo. Za nimi pojechało jeszcze kilka samochodów.

Prawie natychmiast znaleźli ślady racic. Wyglądało na to, że Geo wiedział, gdzie szukać. Było to prawie w połowie drogi między domem Pippinsów i miejscem, w którym Tom znalazł psa. Ślady wskazywały, że dzik przez większość drogi był ciągnięty po ziemi. Opierał się oplatającej mu szyję linie. Dżip zwolnił.

Na ziemi widniał wyraźny ślad opony. Poszukujący wysiedli i przyjrzeni się kołom swoich aut. Od razu stało się jasne, że jest to ślad opony samochodu Pippinsów.

Garth milczał. Billy był wstrząśnięty.

Tom w milczeniu ruszył w kierunku Gartha. To on naraził życie Susan Lee.

- Uspokój się - mruknął Geo, chwytając go za rękaw.

Nikt więcej nie komentował tego odkrycia.

- Bardzo mi przykro - zwrócił się do Toma pan Pippins, kiedy wrócili do Petersonów.

- Rozumiem cię - odparł Tom.

Następnego dnia Garth Pippins wyjechał do kuzynów w Kalifornii. Pippinsom było bardzo głupio, zdobyli się jednak na szczerłość.

- Popatrz tylko na nią - powiedział któryś z nich do Toma.

- Ty najlepiej powinieneś zrozumieć Gartha.

I Tom rzeczywiście zrozumiał.

Przez kolejne lata często spoglądał na swą żonę i aż drżał na myśl, że mógł ją stracić. Była dla niego wszystkim.

- Czy wiesz, że jesteś moja? - pytał.

- To ja cię wybrałam - odpowiadała Susan Lee.

Prawie wszyscy rozrzucony po całym kraju Brownowie zjechali się na ślub Toma z Susan Lee. Była to wielka uroczystość. Przybyło tak dużo gości, że skorzystali z pomysłu Tweeda i rozbili namioty.

Susan Lee wyglądała tak pięknie, że zawstydziła wszystkie wspaniałe, wiosenne kwiaty Teksasu.

Po psa nikt się nie zgłosił. Był tak wyjątkowym zwierzęciem, że Tom chwilami współczuł temu, kto go stracił. Oczywiście, nazwał go Myśliwym.

Tom na dobre osiedlił się w tej okolicy. Nadal robił zdjęcia, na których ludzie wyglądali nie jak plastikowe lalki, lecz jak istoty z krwi i kości.

Susan Lee zrobiła doktorat i napisała pracę o nietypowych reakcjach mężczyzn.

Żyli szczęśliwie wśród szczęśliwych ludzi.